

Łódź Odgłosy

Nr 3 (1688)

Rok I (XXXIV)

9 czerwca 1991 r.

Cena 3000 zł

Procent ryzyka

Rozmowa
z Anatolijem Kaszpirowskim (1)

Na początek chcę zapytać, czy przyzwyczaił się pan już do głupich pytań dziennikarzy, czy jeszcze one pana denerwują?

- Do głupich pytań przyzwyczaić się bardzo trudno. Ja nigdy się nie przyzwyczaję.

- Czy stając przed wielotysięczną widownią odczuwa pan treść? A jeśli tak, to jak pan z nią walczy?

- Nigdy nie mam tremy i nie denerwuję się przed seansem. Mogę mieć natchnienie albo go nie mieć, ale żebym się denerwował albo odczuwał strach - nie, tego nigdy nie ma. Mój strach lub zdenerwowanie ludzie by odczuli, a gdy widzą, że jestem pewny, bez napięcia i zdenerwowania - nie rodzą się w nich żadne wątpliwości.

- Czy konieczna jest wiara w pańskie umiejętności, aby pojawiły się efekty lecznicze? Czy zna pan przypadek, żeby człowiek sceptycznie, źle nastawiony do pana poczuł poprawę zdrowia?

- Uważam za swoje osiągnięcie, że odszedłem od działania psychiki na psychikę, od



działania rozumu na rozum, a doszedłem do działania rozumu na inne funkcje organizmu, szczególnie na podświadomość. Tutaj wiary nie potrzeba. Bo i u tych, którzy nie wierzą obserwuję pozytywne, ciekawe rezultaty. I jeszcze jedno: wiara i niewiara to dwie strony tego samego medalu, ściśle z sobą związane. Pokonać niewiarę, to znaczy być bardziej delikatnym, bardziej profesjonalnym. Trzeba zadziałać tak, żeby w człowieku powstało ukierunkowanie na wyleczenie.

- Czy silna wiara w Boga może stanowić barierę wobec wewnętrznych, naturalnych sił obronnych organizmu? Czy może przeszkodzić w leczeniu, gdy człowiek wierzący będzie np. uważał, że pańskie metody stoją w sprzeczności z "wyrokami boskimi"?

- Przepraszam pana, ale zaczęły się już głupie pytania. To znaczy: nie są one głupie, ale niekompetentne. Uważam, że nie można mieszać mojej pracy z religią. Dlatego, że religia niesie głównie wartość duchową. A ja oddziałuję na somatykę, na ciało, na choroby ciała. Religia jest w ogóle matką medycyny, narodziła również psychoterapię. Tylko że psychoterapia pozostaje w tyle za religią. Nie dorosła do jej poziomu i nigdy nie dorosnie. Ale - z drugiej strony - prawidłowo zbudowana psychoterapia daje unikatowe i zdumiewające rezultaty, jak choćby zanikanie różnych chorób i dolegliwości.

- Czy świadomość i wiedza naukowa mogą wyeliminować działanie podświadomości, gdy ktoś wyklucza skuteczność pańskich metod?

- Nigdy. Podświadomość nigdy się nie wyłącza. Ale z drugiej strony: teraz idziemy np. do restauracji, siadamy i zaczynamy rozmyślać o tym, z czego zrobiona jest bułka, jak zbierano zboże, itp. Nie chciałbym na ten temat mówić, bo są to moje sekrety. Również dlatego, że często moje myśli są bezzwzględnie kradzione przez innych ludzi. Poza tym, poruszyłbym teraz tematy, które kiedyś opracuję do druku i wydam w książce. Nie chciałbym więc ich przedwcześnie ujawniać.

Cd. str. 6



Fot. M. Markowski

Jedna ulica Zachodu nie czyni...

Dwa oblicza Pietryny

Tego, kto robi zakupy „na pamięć” i ma swoje stałe trasy, może spotkać srogi zawód. Pewnego dnia zastanie na drzwiach karteczkę, że „jego” sklep jest w stanie likwidacji, a najbliższa placówka tej branży itd. Szczególnie wiele niespodzianek czeka klienta na Piotrkowskiej. Salon obuwniczy modelowego oferuje telewizory i biustonosze, po warzywach i owocach został tylko neon - pietruszkę i buraki zastąpiła aspiryna, zamiast nasion i narzędzi ogrodniczych dwa Renaulty i sprzęt audiowizualny, w usługach krawieckich obuwie sportowe i narzędzia medyczne.

Pół „Orbisu” zamieniono na sklep z ciuchami i gospodarstwem domowym, w dawnym PTK-u sprzedają rakietki tenisowe, krawaty i garnitury (po 3 mln zł). Padły ostatnie „Otexy” i „Arpisy”. „Moda Polska”, filia „Centralu”, „Dom Dziecka” i „Jablonex” żyją już tylko w pamięci ich byłych klientów. Przed dawnym chemicznym parkuje samochód dostawczy, a ściślej - odstawczy; trwa ewakuacja, sklep jest

opróżniany z towaru. Pracownica jednego z punktów usług fotograficznych informuje klientów o likwidacji zakładu. Na pytanie co dalej, bezradnie rozkłada ręce: „Lokal do przetargu, pracownicy na zasiłek”.

W dość krótkim czasie poczciwa Pietryna uległa radykalnej metamorfozie, zdumionym przechodniom ukazując swoją nową twarz. Znakiem tych przemian są obowiązkowo zagraniczne nazwy sklepów, delikatesy Meinla, chińska restauracja, salon samochodowy, ogłoszenia o sprzedaży mundurów wojsk NATO, całonocowy handel (w nielicznych jeszcze placówkach) i pojawiająca się przed Grand Hotelem luksusowa limuzyna z kierowcą i anteną satelitarną.

Główny trakt Łodzi ma i drugie oblicze. Wystarczy podnieść głowę, by ponad szkłem, aluminium i terakotą zobaczyć tęczące się tynki brudnych murów, wystarczy zajrzeć do bramy,

Cd. str. 4

W numerze m.in.:

◆ Co nas dzieli od Europy?

str. 3

◆ Fundacja oskarża Zarząd Miasta

str. 4

◆ Przedłużona agonia

str. 5

◆ 120 dni Sodomy

str. 8

◆ Rachunek za zwycięstwo

str. 7

◆ Wróżka prawdę ci powie

str. 7

◆ Włóczykiew - nowa powieść

str. 16

◆ Trzy pokoje z kuchnią... cotygodniowa powieść »Odgłosów«

str. 15

Córko, ja ci wybaczam...

Narodziny kabaretu

Dostało się wszystkim - przedstawicielom sumienia narodu chcącym oczyścić Polskę z łysych, rudych, Żydów, prezerwatyw i pornografii, tym, którzy chcą eksportować do wspólnej Europy czystość moralną i kobiety w ciąży oraz Grzegorzowi Dyndale, który naobiecował i nie może dotrzymać zobowiązań. Byli skołowani ludzie i Polska z oleodruku - szlachcianki z kotowrotkiem, Matka Polka, Wernyhora, górnik, chłop, kapitan Kloss, poeta i marsz na Belweder. I była piękna, mądra, wzruszająca piosenka, która zabrzmiała jak herezja:

(...) Z tobą się zawsze jakoś dogadam.
W smutku pocieszysz, w biedzie pomogiesz,
Lecz ten naziemny Twój personel -
O, z personelem to już gorzej.
Swoją świętą nos pcha mi pod koldrę,
Poucza, w duszy grzebać chce,
Chyba dlatego tak nie lubię
Twych urzędników, panie B. (...)

Kabaret Olgi Lipińskiej nie pozwala na obojętność. Po ostatnim wydaniu do telewizji napłynęło więcej niż zazwyczaj listów. 75% nadawców zdecydowanie przyklasnęło pomysłowi, reszta wyraziła swą dezaprobatę i oburzenie w sposób mniej lub bardziej grzeczny. Wbrew oczekiwaniom niektórych nie było żadnych oficjalnych protestów, za to w tydzień po emisji nadeszła pocztówka następującej treści: „Córko, ja ci wybaczam, ale co na to moi studzy? Pan B.”

- To, że coś krytykuje - mówi Olga Lipińska - jeszcze nie oznacza negacji. Nie upieram się, że tylko ja mam rację. Słucham co mówią ludzie

Cd. str. 6

Towarzystwo
Ubezpieczeniowo-Reasekuracyjne
„POLISA”
Oddział w Łodzi, al. Kościuszki 80/82
☎ 36-24-65, 37-65-26

Proponuje konkurencyjne warunki ubezpieczeń krajowych i zagranicznych
Zapraszamy do naszych filii wojewódzkich:
Piotrków Trybunalski
ul. Wojska Polskiego 102 telefon 77-43
Sieradz
ul. Aleja Pokoju 11 telefon 39-86
Skierniewice
ul. Kopernika 3 telefon 42-60

Zatrudnimy na korzystnych warunkach pośredników ubezpieczeniowych z terenu województwa: łódzkiego, sieradzkiego, skierniewickiego i piotrkowskiego.



● Kierownictwo Ruchu Narodowo-Liberalnego z siedzibą w Łodzi wydało broszurę pt. „Rewolucja kapitalistyczna. Zarys rozwoju gospodarczego Polski”. Jest ona prezentacją programu gospodarczego, alternatywnego w stosunku do programu Leszka Balcerowicza. Rozesłano blisko 80 egzemplarzy do redakcji gazet, tygodników, radia i telewizji. Nikt nie odnotował tego faktu, ani się do niego nie ustosunkował. Wystano też egzemplarz do Kancelarii Prezydenta RP. Liczono się z ewentualnym zaproszeniem na naradę ekonomistów, która niedawno odbyła się w Belwederze. Z Kancelarii Prezydenta nadeszły tylko kurtuzyjne podziękowania za nadesłany program.

● W całym kraju, również w Łodzi, trwa akcja protestacyjna Straży Pożarnej. Polega ona, jak do tej pory, na oflagowaniu i oplakaniu remiz strażackich. Strażacy zapowiadają zaostrezenie akcji protestacyjnej, ponieważ do tej pory nie spełniono ich postulatów. Może dojść do strajków. W niektórych regionach Polski strażacy zamierzają gasić tylko takie pożary, które zagrażają życiu ludzi. W tej sytuacji pozostaje nam jedynie suplikacja: – Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!

● Protestują też policjanci. Zarząd Wojewódzki NSZZ Policjantów, na posiedzeniu 28 maja 1991 roku, podjął jednak uchwałę o zawieszeniu akcji protestacyjnej na czas pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny.

W Łodzi niedawno przebywał minister spraw wewnętrznych, Henryk Majewski, który rozmawiał z protestującymi policjantami. Policjantów nie usatysfakcjonowała ta rozmowa. Domagają się oni nie tylko przeprowadzenia zmian organizacyjnych w policji, ale też zwiększenia pieniędzy przeznaczonych na jej potrzeby, żeby na przykład starczało na benzynę do radiowozów.

Trudno dziwić się policyjnym żądaniom, bo wszyscy chcielibyśmy, aby żyło się nam bezpiecznie, aby nikt nas nie okradał, nie napadał, nie bił... Jednakże natrętna pamięć przypomina, że nie tak dawno opozycja, czyli siły dziś rządzące, domagała się zmniejszenia wydatków z budżetu państwa przeznaczanych na potrzeby milicji. Żądania się spełniły. Ludzie ci sami. Wszystko się zgadza, ale jakoś głupio to wyszło.

● Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łodzi otrzymało kolejną ratę pieniędzy na wydatki: 65 milionów złotych. Starczy tego na pokrycie 75 procent wynagrodzeń i 35 procent innych wydatków. Co dalej? W ogóle, co dalej z oświatą? Wiceminister edukacji narodowej Anna Radziwiłł poinformowała m.in. o potrzebie zmniejszenia ilości godzin zajęć lekcyjnych, ograniczenia zajęć dodatkowych, zapowiedziała również ograniczenie działalności szkół dla pracujących, a także domów kultury dla młodzieży. Ograniczenia te minister Anna Radziwiłł nazwała przejściowym, na czas kryzysu. Przy tej okazji przypomniała się nam, że tymczasowe rozwiązania mają dziwną moc długiego trwania. Przypomniały się nam też słowa zacerpnione przez Stanisława Staszica z aktu fundacji Akademii Zamojskiej z 1600 roku: „Takie zwykły być Rzeczypospolite, jakie są obyczaje i wykształcenie obywateli”.

● W Krakowie odbywało się sympozjum KBWE na temat tradycji europejskiej kultury. Premier Jan Krzysztof Bielecki przemawiał do zebranych po angielsku, profesor Aleksander Geysztor po francusku, w tym samym języku przemawiał minister kultury dr Marek Rostworowski. Również list prezydenta RP Lecha Wałęsy odczytano po francusku. Nam się to nawet podobalo. Znalazł się jednak mal-kontent, który zadzwonił do radia i zdziwił się, dlaczego gospodarze sympozjum wstydzą się własnego języka?

● Przez 25 lat dyrektorem Muzeum Sztuki w Łodzi był Ryszard Stanisławski. Prowadzone przez niego muzeum stało się znane miłośnikom sztuki na całym świecie. Zdarzały się i takie przypadki, kiedy znawca sztuki lecał samolotem z Moskwy do Paryża, zatrzymywał się w Warszawie, brał taksówkę, jechał do Łodzi, aby obejrzeć kolekcję sztuki nowoczesnej. Ryszard Stanisławski odszedł na emeryturę. Pozdrawiamy! Życzymy dużo zdrowia i zapału do twórczej pracy. Ryszard Stanisławski był przecież laureatem nagrody „Odgłosów”.

B.M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”

Radaktor naczelny Mirosław Kulis
Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
36-52-44

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Gdy słuchasz jakiegokolwiek wypowiedzi, albo czytasz ją w gazecie, zawsze musisz zastanowić się, kto oto do ciebie mówi. Czy osoba prywatna w swoim własnym imieniu, czy też medium urzędu, funkcji albo partii. Okazuje się bowiem, że coraz częściej, ten i ów ogłasza, iż istnieje w dwóch osobach. To zjawisko podwojeń, nader oryginalny wynalazek ostatnich miesięcy, pomnaża wprawdzie ilość poglądów, opinii i publicznych enuncjacji (jak demokracja to demokracja!), ale i też dezorientuje. Zwłaszcza, że zazwyczaj po niewczasie mówca lub publicysta wybiera sobie wcielenie, w zależności od tego, co w danej chwili wygodniejsze. I wtedy zaczyna się schody. Często w dół.

Oto pan Kaper, który w telewizji jednego dnia występuje jako wiceminister zdrowia i mówi to, czego cytować nie warto, a nazajutrz, gdy jego słowa zbulwersowały całą Polskę i co uważniejszych korespondentów zagranicznych oświadcza, że objawił nam swoje przekonania, jako osoba prywatna. Oto minister stanu, Jerzy Grohman twierdzi, że jako pełnomocnik prezydenta nie ma poglądów politycznych, natomiast jako osoba prywatna jest związany z Porozumieniem Centrum. Oto minister Wiesław Chrzanowski, a jednocześnie Prokurator Generalny, jako członek Przymiotu Krajowego Komitetu Obywatelskiego podpisuje protest przeciwko opieszałości organów własnego ministerstwa, w wyświetleniu sprawy jak doszło do pogwałcenia naszej suwerenności i przekazania stronie radzieckiej dwóch Litwinów. „Rząd chętnie słucha krytyki” stwierdził przytomnie premier Bielecki i nakazał Panu Ministrowi, by napisał sobie wyjaśnienie. Oto minister budownictwa, nim jeszcze opracował swój projekt „uzdrowienia” sugeruje, aby demonstrować przed Sejmem, którego opieszałość jakoby przekreśla ministerialną wizję „szklanych domów”. Tenże sam członek rządu na konferencji prasowej w Paryżu deklaruje: „W zasadzie idziemy w dobrym kierunku, ale zmierzamy równocześnie do katastrofy”. Pierwsza część deklaracji jest ciemna jak kabała: my, to znaczy kto? Ministerstwo?, Partia, do której minister należy? Czy też może „My, naród”? Druga część oświadczenia jest oczywista, a całość śmieszna jak dowcip o Gomułce: „nasz kraj, towarzysze, stał o krok przed przepaścią. W tym roku zrobiliśmy krok do przodu”.

Kościół dąży do sprawowania władzy – bez ponoszenia odpowiedzialności

Kolejna wizyta Jana Pawła II w ojczyźnie wzmogła, i tak już duże, zainteresowanie sprawami Kościoła katolickiego w Polsce, a głównie jego rosnącym wpływem na życie publiczne. Ten silny wpływ, zauważalny przez większość obserwatorów (i przez wielu krytykowany) oddziałal – jak się wydaje – na zmianę społecznego odbioru papieskiej wizyty. Oczywiście, trudno się tu wypowiadać w sposób jednoznaczny. W „Prawie i Życiu” (nr 22) próbuje tego Jerzy Chłopecki, zastrzegając się wprawdzie, iż ryzykuje błąd w ocenie. Piszę jednak dalej:

„Skłonny jestem sądzić, że nie zmienił się stosunek Polaków do papieża, choć wyraźnie zmienia się image Jana Pawła II w społeczeństwach krajów zachodnich. Natomiast zdecydowanie inne niż w przeszłości są reakcje bardzo wielu ludzi wobec samej wizyty, a przede wszystkim wobec przygotowań, które ją poprzedzają. Trzeba być głuchym albo wyobcowanym ze społeczeństwa, aby nie usłyszeć tych opinii wypowiedzianych głośno, ale – co charakterystyczne – najczęściej w sytuacjach pozwalających zachować anonimowość, a więc w sklepach, na ulicy, w pociągach.

W miejscowościach, w których papież się zatrzyma, tynkuje się domy i kościoły, kładzie nowe chodniki, zrywa stary asfalt przy użyciu nigdy wcześniej nie oglądanych zachodnich maszyn, zostawiając jednak dziury w jezdniach tych ulic, przez które nie będzie prowadziła trasa przejazdu. Ta potiomkinowska fasadowość nasuwa fatalne analogie. Wszyscy pamiętają czasy, gdy robiono to samo, choć na mniejszą skalę, na użytek odświętnych wizyt dostojników komunistycznej władzy. Trzeba nie mieć pamięci lub wyobraźni, by nie uwzględnić możliwości takich skojarzeń. Równocześnie szkokuje drastycznie szeroki gest w kraju, który bankrutuje, którego budżet nie jest w stanie pokryć podstawowych wydatków na placę dla lekarzy, pracowników oświaty i nauki.”

Poznański tygodnik „Wprost” (nr 22) piórem Bogusława Mazura komentuje spadek popularności Kościoła w Polsce, starając się odgadnąć zamierzenia hierarchii katolickiej:

„Wzrastająca obecność Kościoła w życiu publicznym wywołuje irytację znacznej części społeczeństwa. Pragnie ono po zniesieniu systemu komunistycznego normalności, co często utożsamia się z zachodnim – mocno zlaicyzowanym – stylem życia. Reaguje też alergicznie na wszelkie ideologie i wszechogarniające doktryny. Stąd badania sondażowe wykazują znaczny spadek popularności Kościoła, czy wręcz wzrost nastrojów antykościelnych.

Nic zatem dziwnego, że biskupi polscy czynią kłask nacisk na prawne utrwalenie pozycji Kościoła w życiu kraju.

Widoczne to jest przy manewrach czynionych wobec konstytucyjnego rozdziału Kościo-

Ja to ktoś inny

Przewodniczący Krzaklewski objaśniając intencje decyzji Związku o zorganizowaniu ogólnopolskiego protestu mówił: „nie chcemy obalać rządu. Nie krytykujemy rządu. Protestujemy przeciw sposobom rządzenia”. Czyli rząd jest w porządku, a w Urzędzie Rady Ministrów panoszą się krasnoludki? Nowy przewodniczący jest inteligentny, zatem podczas konferencji, na której ogłaszał decyzję, widać było najwyraźniej, jak bardzo uważa go ta dialektyczna retoryka.

Nagłębniej zdają się wierzyć w magię słowa rzecznicy. I to wszelkich szczebli. Ten, co wymyślił tę instytucję, nie mógł przewidzieć, że dokonał odkrycia równego najważniejszym zdobyczom cywilizacyjnym XX wieku. Rzecznik bowiem stał się główną postacią sceny społecznej. Nie tylko występuje w czymś imieniu, nie tylko objaśnia czyjeś słowa, czyni i postępi. Jest także piorunochronem, deską ratunku, a nierzadko i brzytwą, która – jak wynika z potocznej frazy – najczęściej pomaga tonącym.

Gdybyśmy chcieli rozglądać się dookoła oczami rzeczników, wtedy by się okazało, że rzeczywistość, w której żyjemy jest jakąś fikcją, wymysłem zupełnie nie przystającym do realiów, jakie wycharowują urzędnicy słów. Wśród tych ekwilibrystów i magików niedościgniony był, oczywiście, Jerzy Urban, którego cotygodniowe spotkania z dziennikarzami i telewizjami przybrały charakter serialu z Marsa. Ale i obecni rzecznicy starają się jak mogą.

Wielce interesującym egzemplum są tu recitale słów wykonywane przez rzeczników po wizycie Pana Prezydenta w Izraelu. Ich oświadczenia o tym co powiedział, a czego nie powiedział premier Lechak Szamir o istnieniu przedstawicielstwa OWP w Warszawie mogły zbieć z tropu najwybitniejszych znawców dyplomatycznej kazuistyki. Zażądał likwidacji, traktując ją sprawę jako kłuczową dla dobrych stosunków polsko-izraelskich, czy też tylko na ten temat żartował?

(Pan Prezydent po przylocie do Warszawy orzekł przecież: „To nieprawda, to był jakiś żart!”) Na nic się zdały retoryczne łamigłówek panów rzeczników. „Wiadomości” TvP, w kilka minut po sprawozdaniu z konferencji prasowej, nadały wywiad z Szamirem rozwiewając wszelkiego rodzaju zasłony dymne. Najnowszy pistolet redakcji informacyjnej w naszej telewizji, czyli pani redaktor Olejnik, znów wypalił bez pudła. A zresztą premier Izraela nie musiał się rozdawać na osobę prywatną i oficjalną.

Syndrom podwójnych osobowości, który tu nazwałem zapożyczoną formułą „Ja, to ktoś inny”, ma charakter epidemiczny. Podczas tegorocznych matur egzaminowany, gdy usłyszał, że ma charakteryzować przed komisją postać Zenona Ziembiewicza zapytał: Pani Profesor, czy mam oceniać jako uczeń, czy też mówić co naprawdę o tym sądzę? Po egzaminie rozgorzała dyskusja między członkami Komisji, która wielokrotnie nieopatrznie przystała, aby maturzysta tym razem zrezygnował z roli ucznia. Bo oto okazało się, iż egzaminowany argumentował swoje opinie przekonująco, zwłaszcza dla męskiej części składu egzaminatorów, jednak w niezgodzie z tzw. założeniami wychowawczymi programów szkolnych.

Istnym konkursem krasomówczym była debata sejmowa nad ustawą antyaborcyjną. Tu rolę, w które wcielali się kolejni mówcy, wirowały jak kule w bębnie toto-lotka. W dziesięciokrotnych monologach powoływali się po prostu, już to na Pana Boga, już to na rolnika, któremu sztuczne poronienia załamały rynek zboża i salaty. A oracja o zakrwawionym piwie, które nawarzyli a teraz powinni wypić spadkobiercy menelowsko-eichmannowskiej oraz hitlerowsko-stalinowskiej ustawy, przejdzie do księgi retorycznych kuriozów, godnych zanotowania przez jakiegos polskiego Guinnessa.

Grzegorz Gazda



ta od państwa. Episkopat wypowiedział się najpierw przeciwko takiemu zapisowi, jako mającemu usunąć Kościół z życia publicznego. Następnie prymas Józef Glemp odparł zarzuty o chęć tworzenia państwa wyznaniowego; wszak duchowni nie zasiadają w parlamencie, nie zajmują stanowisk państwowych, nie należą też do partii politycznych – ujawnił. Na koniec zaproponował formułę kompromisową, wedle której Kościół i państwo są względem siebie niezależne, ale też ze sobą współpracują. Jeżeli taki układ autonomii nazwie się rozdziałem, to możemy to słowo przjąć – zgodził się.

W rzeczywistości Kościół rezygnuje z tego, co i tak jest dla niego nieosiągalne, gdyż tworzenie państwa, w którym duchowni powoływaliby rząd jest nonsensem. Formuła „autonomiczności i współdziałania” wydaje się być znacznie korzystniejsza. Jej przyjęcie pozwoliłoby Kościołowi wpłynąć na kształt życia publicznego w sposób pośredni. Sprawować władzę – bez ponoszenia odpowiedzialności.

Optymalne dla Kościoła katolickiego byłoby takie rozwiązanie, gdyby partię, które kierują się wskazówkami hierarchii zdobyły „pakiet kontrolny” mandatów w przyszłym parlamencie. Jeżeli tak się stanie, wówczas Kościół będzie faktycznym dysponentem władzy państwowej.”

Na temat rozdziału Kościoła od państwa podobnie, wręcz identycznie jak autor „Wprost” myśli Adam Michnik, wypowiadając się dla tygodnika „Polityka” (nr 22):

„Mnie np. nie zadowalają deklaracje prominentnych osobistości, które mówią, że nikt nie domaga się państwa wyznaniowego, bo nie domaga się, by księża byli ministrami, a biskupi senatorami. To absurd. Państwo wyznaniowe w polskich warunkach to państwo, w którym całość życia publicznego będzie faktycznie podporządkowana doktrynie katolickiej i instytucjom kościelnym. Co z tego, że dyrektor szkoły będzie deklarował niezależność, jeżeli faktycznie zasadniczą rolę będzie odgrywał w szkole katecheta?”

W tygodniku „Spotkania” (nr 20) wypowiada się ks. Alojzy Orszulik, zastępca sekretarza Episkopatu Polski. Na pytanie „Czy Ksiądz Biskup uważa, że korzystne byłoby istnienie w

Polsce silnej partii chrześcijańsko-demokratycznej?” odpowiada:

„Jestem jednym z tych duchownych, którzy od dawna optowali za powstaniem chrześcijańskiej demokracji; powinna ona realizować w życiu publicznym społeczne nauczanie Kościoła. Uważam, że powstanie takiej partii byłoby w katolickim społeczeństwie czymś naturalnym. Prowadzenie działalności politycznej przez katolików świeckich jest ich prawem i obowiązkiem wynikającym z przynależności do Kościoła. Oczywiście, muszą ją prowadzić na własną odpowiedzialność, choć pozostając w łączności z hierarchią. Pasterze Kościoła nie biorą odpowiedzialności za polityczne działania świeckich.”

Jak Czytelnicy zauważyli, ksiądz biskup w „Spotkaniach” mówi nieco innymi słowami to samo, co autor tygodnika „Wprost”. Wydaje się więc, jeśli uznamy wypowiedź ks. Orszulika za reprezentatywną, iż droga do celu została już wytyczona. Jaką rolę ma na niej do odegrania papież? Adam Krzemiński w „Polityce” (nr 22) widzi tę delikatną kwestię następująco:

„Jeśli (...) ktoś zechce ze względów partyjnopolitycznych skorzystać z przyjazdu papieża, by uzyskać programowe namaszczenie jako „prawdziwy” chrześcijański demokrat, to może być w kłopot. Niewykluczone, że ten czy ów biskup polski chętnym okiem patrzyłby na skłanianie wszystkich co ma w nazwie „chrześcijańsko-demokratyczny” pod jednym parasolem, ale ani to wygodne, ani takie proste – bo jak połączyć chadecką lewicę bliską w istocie socjaldemokracji z chadecką prawicą (która już się bardzo przemieszała z naszymi rodzimymi „faszystoidami” zastępującymi się krzyżem i mieczem Chrobrego). Niemniej papież w sposób subtelny, ale już wyraźny zechce pewnie „namaszczyć” uściskiem dłoni tych polityków, których nie uważa za szalawili i cynicznych graczy z podkradzionym emblematem ChD na piersi. Zatem w tej wizycie będzie przede wszystkim chodziło o wierności, a nie o twarzę.”

A jednak problem pozostanie: jak znaleźć twarze, które odpowiadają postulowanym wartościom? Pewnie już o tym myślał wysocy dostojnicy hierarchii, znani z ostrożnych, ale dalekosiężnych planów...

AG

Polska nie może być przykładem dla Zachodu – nawet pod względem moralnym

Co nas dzieli od Europy?

Jarosław Mulewicz z Ministerstwa Spraw Zagranicznych twierdzi, iż siedem tysięcy przepisów. Żebyśmy mogli wejść do zjednoczonej Europy trzeba ich mniej więcej tyle zmienić. Jacek Saryusz-Wolski, pełnomocnik rządu do spraw integracji europejskiej, nie jest pewien czy właśnie tyle. Wolałby liczby w ogóle nie wymieniać, bo niektóre z przepisów, wymagających zmian, są bardzo szczegółowe, inne zaś mogą oznaczać poważne zmiany w gospodarce jako całości. Namawia, żebyśmy jako cały kraj byli z Europą kompatybilni. Ale namawia też, żeby nie robić z całej sprawy wyścigu. „Musi się nam to opłacać. Zanim na dobre zapukamy do tych drzwi musimy

nieć i właśnie rola stróża europejskich standardów jest jedną z ważnych ról urzędu ministra Wolskiego. Przyjęto jako regułę, stosowaną już od dawna, iż wszelkie dokumenty akceptowane przez KERM muszą być zgodne z tą zasadą.

Zadanie wymienione jako pierwsze jest oczywiście dużo trudniejsze. Dzieli się więc je pod względem ważności i pilności. Stąd na pierwszy ogień winny pójść: prawo podatkowe i prawo o spółkach. Najdalej nam zaś do Europy w takich dziedzinach jak regulacje prawne transportu, statystyki, i niestety, ochrony środowiska.

Czy tylko gospodarka. Andrew Nagorski,

ka, a jedna z nich stanowi, iż kara śmierci nie mieści się w nowoczesnych regulacjach prawnych. Polska winna się tym ustaleniom podporządkować.

Ten styl myślenia wydaje się być obcy siłom politycznym, które chciałyby zawrócić Polskę z powrotem na tory „przedmurza” czy Mesjasza narodów, nauczającego Europę moralności, prawdziwej religijności i codziennego stosowania prawd objawionych. Zdaniem A. Nagorskiego ten typ myślenia nie ma żadnych szans we współczesnym świecie. Można i należy pielęgnować narodowe tradycje i, wracając do historii, wydobywać z niej rzeczy warte utrwalenia, ale zawsze winno być to spojrzenie krytyczne. „Nie wydaje mi się, by tego typu nauki, dawane przez Polaków zachodniemu światu, miały jakiegokolwiek widoki na sukces.” Profesor Geremek, odwołując się na chwilę do roli polityka na korzyść historyka, uważa, że na mesjanizmie Polska zawsze wychodziła źle, więc nie ma sensu powtarzanie dziś starych błędów.

Ale nawet najbardziej delikatne omijanie problemu narodowej suwerenności przy dyskusowaniu o europejskiej integracji nie powoduje, iż problem ten znika. „Transfer części suwerenności już na Zachodzie nastąpił i nie ma się czego bać – ocenia minister Saryusz-Wolski – Wszyscy są dziś zależni od wszystkich, a jeśli my uprzemy się, iż niczego z naszej suwerenności uszczknąć nie damy, to oczywiście nikt na siłę nas do tego nie zmusi. Tyle, że skutek będzie taki, iż pozostając samotnie poza wspólnotą nie będziemy mieli żadnego wpływu na podejmowane przez nią decyzje. A na współpracę, i to codzienną, z Europą jesteśmy skazani. Przyszłoby więc nam i tak stosować jej standard.”

Czy daleko nam do Europy? Jedni twierdzą iż jesteśmy tylko zapóźnieni, inni, że to już przepaść cywilizacyjna. W tej sprawie panowie Nagorski i Geremek mają zdanie podobne: Polska jest w Europie i nie musi do niej wracać, bo nigdy z niej nie wyszła, ale rzeczywiście zacofanie jest ogromne. Trzeba więc determinacji i pracy, aby je pokonać. Europa na nas nie poczeka, ale to nie znaczy iż nie pomoże. Zgodnie z zachodnim stylem myślenia złoty rybek nikt nam nie da, ale wędkę – i owszem. I choć na razie jest to wędkę z leszczynowej wittki, a nie nowoczesny spinning, to znawcy rybołówstwa twierdzą, że do bry rybak i takim sprzętem zakasuje niejednego.

A jest o co walczyć, gdyż jeśli się nam nie uda, na historycznej granicy Wschodu i Zachodu Europy pojawi się prawdziwa przepaść cywilizacyjna.

Krzysztof Krubski



być wcześniej gotowi do ich przekroczenia. Wtedy przyjmą nas chętnie.”

O tym, że nie mamy ciągle jeszcze prawdziwego rynku, banków, infrastruktury technicznej i telekomunikacyjnej, hoteli, itp., itd. wiedzą wszyscy. Ale zadanie, które przed nami stoi, jest daleko trudniejsze niż tylko przemiana gospodarcza, choć właśnie ona będzie w poważnym stopniu decydowała o powodzeniu całego przedsięwzięcia. Musimy jako całość organizmu państwowego dostosować się do ogólnoeuropejskich reguł gry. Aby to zrobić trzeba dwóch rzeczy: zmiany regulacji prawnych już obowiązujących oraz zadbania o to, by nowe prawo było już kompatybilne ze standardami Zachodu. To drugie jest łatwiejsze do osiągnięcia

warszawski korespondent tygodnika „Newsweek” uważa, że nie. „Dopóki spora część Polaków utożsamiać będzie interesy robione w Polsce przez obcokrajowca z krzywdą własną i swej ojczyzny, nie pomogą najlepsze przepisy. Tylko przekonanie, iż interes biznesmena może być również interesem obywateli kraju, w którym on inwestuje, pozwoli nie traktować go jako wroga lub przeciwnika. Ta atmosfera psychologiczna jest potrzebna i obcokrajowcom, i Polakom.”

Podobnie uważa przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych, profesor Bronisław Geremek. „Musimy przyjąć zachodnie standardy. Jeśli Rada Europy uchwala pakiet konwencji regulujących m.in. prawa człowie-

HIV jest ograniczone przede wszystkim do jednej grupy, która w jego przekonięciu jest zboczeniem, czyli kontaktów homoseksualnych.

Tym razem w roli mentorów pana wiceministra wystąpił: prof. Zofia Kuratowska, wicemarszałek Senatu, która zarzuciła mu „całkowitą ignorancję w sprawach lekarskich i całkowity brak poszanowania dla praw ludzkich”, oraz premier, który po prostu odwołał człowieka kompromitującego rząd. Nieszczęsny, zdymisjonowany demagog ponadto publicznie, motywując to swymi przekonaniami religijnymi, wypowiedział się również przeciwko używaniu jakiegokolwiek środków antykoncepcyjnych.

Ciekawe, że owego wroga antykoncepcji i zboczeńców publicznie bronił, a zatem uznali trafność jego argumentacji dwaj popularni posłowie określający się jako narodowi chrześcijanie, czy też chrześcijańscy narodowcy. Ich kolega partyjny, znany łódzki poseł także jest szczerzy aż do bólu. Jak wyczytałem w „Kurierze Polskim” uczestników demonstracji przeciw ustawie antyaborcyjnej nazwał po prostu „czerwona banda głupich psychopatów”. Tyż piknie, jak mawia pewien gazda z Białego Dunajca.

W naiwności ducha sądziłem, że jeżeli istnieje pojęcie – słowa lub zachowania nieparlamentarne, to parlamentarzyści, czyli nasi dzielni posłowie zapewne błyszczy jak to słoneczko na niebie nie tylko rozumem i polityczną przenikliwością, ale także dobrymi obyczajami. Tymczasem ostatnio wyczytałem i to w „Odgłosach”, że o posle, tym co to mianem „czerwonej bandy głupich psychopatów” określa ludzi myślących inaczej niż on, jego koleżanka z Sejmu wyraziła się, że jest po prostu głupcem.

Ponieważ raczej odpada możliwość, aby czcigodny poseł był „krótką, grubą, mięsistą łodygą roślin kapustnych, np. kapusty lub kalafiora”, więc jak wynika to ze „Słownika języka polskiego” jest raczej „człowiekiem głupim, tępym i niezdarnym”. Ideal sięga bruku – parlamentarzyści są nie-

parlamentarni. Szanownym Czytelnikom poddaję pod rozważenie problem – czy nieparlamentarni parlamentarzyści mogą być parlamentaryzmem cieszącym się naszym szacunkiem?

Ostatnią moją nadzieją na ostoję dobrych obyczajów językowych i łagodności w formułowaniu opinii o bliźnich była instytucja właśnie głosząca miłość bliźniego, pokój i zasadę, że kto na ciebie kamieniem (rzuci), ty na niego chlebem. Popadłem jednak we frustrację, kiedy dowiedziałem się, że krajowy zwierzchnik tej instytucji w Krakowie, a zatem w miejscu, w którym tradycje najstarszego polskiego uniwersyte-

Kundle, łapserdaki i zboczeńcy

tu powinny skłaniać do odpowiedzialności za słowo, krytyków nadmiernych ambicji politycznych organizację przez siebie kierowaną nazwał po prostu „podwórkowymi kundelkami”. Niech sobie szepczą, nikt się ich ujadaniem nie będzie przejmował, tym bardziej, że kundel to bastard, mieszańce niewiedomego pochodzenia. A jak będzie nadmiernie ujadł, to się go kijem pogoni jak kundla. Takie są logiczne wnioski ze słów eminencji.

Romantyczny poeta przed prawie półtora wiekiem pragnął, „aby język głąki powiedział wszystko, co pomyśli głowa”. Czy przytoczone przeze mnie przykłady, wybrane dość przypadkowo, bo podobnych nadużyć słowa i językowych ekscesów można by przytoczyć wiele, świadczą że o języku czy o głowach osób publicznie zabierających głos w taki właśnie sposób? A może z głowami jest wszystko w porządku i słowa oddają to, co myślą właściciele tych głów?

Jeśli odpowiedź na tak postawione pytanie będzie twierdząca, to znaczy, że nasz świat wypełniają kundle, łapserdaki i zboczeńcy, czerwoni bandyci będący głupimi psychopatami i pospolite gaby. Kim zatem my jesteśmy? Jak żyć w takim świecie, a przynajmniej z ludźmi, którzy tak bezmyślnie i bez odpowiedzialności za wypowiedziane publicznie słowa niszczą to, co warto jednak ocalić – dobre obyczaje?

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Elżbieta Hibner



Pochodzi z inteligenckiej rodziny zasiedziały w Łodzi od kilku pokoleń. Urodziła się w domu przy Piotrkowskiej i tutaj, w sercu miasta, kształtowały się jej pierwsze wyobrażenia o świecie. Jako dziewczynka zwierzyła się matce, że nie ma żadnych ideałów. Chodziło o idoli. Do dziś uznaje pewne racje moralne i system wartości, ale nie są one personifikowane. Swego czasu związała się z ruchem ekologicznym, przeraził ją jednak jego fundamentalizm. Nastąpiło rozejście. Nie istnieje w Polsce partia, z którą mogłaby się identyfikować.

W szkole nie sprawiała kłopotów. Polonistka Halina Ulińska z XIX LO zaszczerpiła w niej miłość do teatru, poezji i sztuki. Pozostała wierna tym upodobaniom, ale po wahańach wybrała studia techniczne. Na Wydziale Elektrycznym PŁ w teatrze „Quant”, poznała swego przyszłego męża, Andrzeja.

Macierzyństwo nie przeszkodziło jej w zrobieniu dyplomu. Obecnie ma dwóch synów, Jacka i Maćka. Starszy robi w tym roku maturę.

W pracy zawodowej związana była z instytutem elektroenergetyki. Doktorat na temat zastosowania mikrokomputerów do obliczeń elektroenergetycznych robiła w najgorętszych miesiącach posierpniowej „Solidarności”. Nie pozwoliło jej to piastować żadnych funkcji w ruchu sprzeciwu.

Z opozycją zetknęła się już w szkole. W klasie maturalnej założyła z kolegami Ziomkostwo Wschodnie. Były to niebezpieczne zabawy, przypadły akurat na okres pomarcowej antyinteligentkiej kampanii. Nie zdawali sobie wówczas sprawy z istoty tych zajęć, doskonale jednak wyczuwali fałsz w wystąpieniach niektórych nauczycieli. Premiera szkolnego przedstawienia „Dziadów”, w których grała Ducha, zbiegła się z moczarską nagonką na inscenizację Dejmkę.

Uczestniczyła w teatralnym ruchu studenckim jeszcze kilka lat po ukończeniu studiów. Ostatnią swoją premierę miała dwa tygodnie przed wyborami do samorządu. Od tej pory nie występuje już na scenie. Nie dlatego, że nie wypada, skoro piastuje stanowisko wiceprezenta Łodzi, tylko z braku czasu.

Dwadzieścia lat małżeństwa zrobiło z niej nieźłą kucharke, rzadko jednak może sobie teraz pozwolić na popisy kulinarne. Zakupy robią synowie i mąż, czekają na ten świąteczny obiad. Korki czy sznur od żelazka także naprawiają chłopcy, jednakże wcześniej nigdy nie prosiła ich o wyrękę.

Mieszkanie posiada blokowe, M-4 na Retkini. Dom jest zawsze otwarty dla przyjaciół, choć nie może już sobie pozwolić na życie towarzyskie. Modę ogląda w telewizji, nie chodzi, mimo zaproszeń, na pokazy, również z braku czasu. Ciesze się najczęściej sama, aby uniknąć brzydkich podejrzeń, że wykorzystuje swoje stanowisko w zarządzie miejskim. Prasa przyzywała ją do utajonych form permanentnego zniewalania. Nie jest to – zauważa – przyjemne.

Bardzo lubi prowadzić samochód, zwłaszcza gdy jest zestresowana, to pozwala na koncentrację. Kiedy jest zmęczona, stara się nie siadać za kierownicą. Samochód to czternastoletni wartburg.

Urlopy spędza w guszy. Zna jeden taki ośrodek nad bardzo czystym jeziorem. W ubiegłym roku udało jej się skryć tam na pięć dni, co będzie w tym sezonie – nie wiadomo.

Nie umie sobie wyobrazić życia poza Łodzią, w każdej podróży zagranicznej natychmiast odczuwa nostalgię. Wierzy w szansę rodzinnego miasta, które nigdy nie miało szczęścia do decyzji centrum. Nie wolno jednak lekceważyć olbrzymiego potencjału intelektualnego Łodzi, bardzo wrażliwego środowiska artystycznego i tradycji pracy w przemyśle organicznej rzeszy ludzi. Przy sprzyjających warunkach stwarza to zupełnie nowe możliwości ekspansji. Tylko kiedy to nastąpi?

F.F.

Uwagi sceptyka

Jak wszystkim powszechnie wiadomo żyjemy w ciekawych czasach i chwilami są one tak ciekawe, że aż z tego powodu możemy się dziwić. Zmieniają się nie tylko ludzie występujący na różnych forach publicznych, ale także i ich ekspresja słowa, czyli sposób wyrażania myśli i nastrojów. Wydaje się, że dominuje dziś pełna szczerość i niechęć do jakichś tam konwenansów lub innymi słowy już niemożliwych zasadami powściągliwości. Ot po prostu, co w myśli, to i na języku.

Ostatnią parady niekonwencjonalnych mówców otworzył sam pan wiceprokurator generalny znaną, publiczną wypowiedzią o ateizmie jako najgorszej religii i źródle wszelkiego zła. Społeczeństwo mamy katolickie, ale chyba możliwości percepcji tego rodzaju opinii musiały zostać przekroczone, bo ów jeden z głównych stróżów prawa i dobrych obyczajów Polaków podał się do dymisji. Być może uczynił to pod wpływem kogoś mądrego, kto wytłumaczył mu, że co innego gadać trzy po trzy na imieninach u szwagra, a co innego jako osoba publiczna. Fredrowski kapelan huzarów skwitowałby to krótko: nie uchodzi, no nie uchodzi!

Niestety, inni publicznie zabierający głos widać nie mają mądrych mentorów, a może po prostu zwykłej, jak to kiedyś mawiano, kindersztuby i wyczucia sytuacji, tak jak ów lekarz z Gdańska, niedoszły szef Porozumienia Centrum, który nie tylko domagał się 25 lat kryminalu za aborcję, ale także surowego karania wszystkich łapserdaków, którzy ośmielają się ze zbyt małym uwielbieniem wypowiadać o naszym ukochanym panu prezydencie. W tym miejscu warto przypomnieć, że łapserdak to tyle co galan, łobuz, niepoń. Ciekawe, czy gdański eskulap, mający ambicje polityczne, zgodziłby się z nazwaniem go na przykład konowalem, albo wręcz durniem, bałwanem lub innym podobnie soczystym epitetem. A wszystko to w ramach spontanicznej szczerości w wyrażaniu myśli i uczuć.

Ostatnio sławny stał się także pewien dentysta, świeżo upieczony wiceminister zdrowia, który za pośrednictwem telewizji, z pewnością, jaka przystoi medykowi i członkowi rządu, poinformował społeczeństwo, że szerzenie się schorzeń typu

Fundacja ulicy Piotrkowskiej oskarża Zarząd Miasta

Łódź - Atlantyda dla bogatych? (2)

W poszukiwaniu konkretów

Pod koniec czerwca 1990 r. Zarząd Fundacji Ulicy Piotrkowskiej spotyka się z Zarządem Miasta. Prezydent Miasta Grzegorz Palka z przyjazną obojętnością przyjmuje do wiadomości powołanie Fundacji i „cieszy go fakt, że są ludzie chcący działać w konkretnym celu”. Powierza nam w ręce wiceprezenta Euzebiusza Zawadzkiego, który „zajmuje się tymi sprawami”.

Wiceprezydent Zawadzki spotyka się z Fundacją kilka dni później.

Udaje się nam przekonać go, że wybór architekta miasta powinien odbyć się publicznie, a nie metodą „powołania z teczek” - po cichutku. Z tego i następnego spotkania pozostały w pamięci dwa żądania skierowane do Fundacji: pierwsze by dostarczyły listę fundatorów i kolegów zarządzających Fundacją wraz z krótkimi życiorysami (tak!) drugie, by Fundacja najpierw „zrobiła coś dla miasta, a później oczekiwała z jego strony pomocnej dłoni”.

Oba życzenia naszymi złośliwymi spełniliśmy. Pierwsze natychmiast, drugie sukcesywnie spełniamy do dnia dzisiejszego.

Dalsze kontakty z Zarządzeniem Miasta odbywała Fundacja za pośrednictwem prezydenta E. Zawadzkiego (jak wspomniane wyżej - skazanego na ten obowiązek przez prezydenta G. Palkę). Zakres merytoryczny tych spotkań odzwierciedlają pisma skierowane do Zarządu Miasta. Efektywność rozmów z prezydentem ilustruje poniższy artykuł i marazm na Piotrkowskiej. Natomiast ich nastrój był zmienny. Od grzecznościowego (czerwiec-wrzesień) poprzez konkretny (październik-luty) do wrogiego (marzec-kwiecień).

Ostatnie spotkanie prezesa Fundacji z prezydentem E. Zawadzkim odbyło się w kwietniu (dokładnie 25.04.91r.). Zakończyło się ono stwierdzeniem, że Zarząd Miasta absolutnie „nie będzie pomagał Fundacji Ulicy Piotrkowskiej” i „nie będzie tworzył dla niej ulg i przywilejów”. Fundacja będzie traktowana jak każdy inny użytkownik, krótko mówiąc Zarząd Miasta uważa Fundację za zbędne ciało. Tak kategoryczne stwierdzenie było w sumie pierwszym konkretem jaki otrzymała Fundacja.

Od czerwca do kwietnia Fundacja przy każdym spotkaniu informowała Zarząd Miasta o dotychczasowych dokonaniach. A były one m.in. następujące:

- Wręczenie nagrody dla najlepszego wnętrza na Piotrkowskiej (księgarnia Ossolineum - Piotrkowska 181).
- Wręczenie nagrody dla autorki programu telewizyjnego „Mała encyklopedia Łodzi” - red. J. Wileński.
- Ufundowanie rzeźby amerykańskiego artysty Richarda Nonasa w ramach imprezy „Konstrukcja w Procesie” w pasażu Rubinstein (koszt 60 mln zł.).
- Uruchomienie wspólnie z PSS gastronomią latem 90 r. ogródków gastronomicznych na Piotrkowskiej.
- Zorganizowanie dużego - 2-dniowego sympozjum „Łódzka narada profesjonalistów” w Muzeum Historii Miasta Łodzi (styczeń 91 r.). Obecnie schodzi z drukarni wydawnictwo z referatami tam wygłoszonymi (koszt przedsięwzięcia około 35 mln zł.).
- Podarowanie Zarządowi Miasta programu komputerowego dla zbierania danych o substancji Piotrkowskiej.

- Sfinansowanie opracowań konkursowych dla pasażu Piotrkowska 137 i Rubinsteina, oraz „przebiecia ulicy Narutowicza” przedstawionych w konkursach architekta miasta.

- Wybudowanie targowiska róg ul. Pomorskiej i Kilińskiego (ukończenie planowane na czerwiec 91 r.). Targowisko to traktowała Fundacja jako inwestycję dochodotwórczą - pozwalającą przeżyć Fundacji, ale również jako poligon doświadczalny w inwestowaniu. Targowisko jest w pełni uzbrojone (woda, kanalizacja, prąd). Mimo miliona trudności jest uporządkowane przestrzennie i plastycznie. Może być przykładem, jak poprawnie realizować takie miejsce.

Trudno stwierdzić czy to ironia losu, czy sprawności struktur zarządzania miastem zaliczyć fakt, że targowisko to jest jedyną rozpoczętą i skończoną inwestycją w Łodzi w latach 1990-91. Ale z pewnością trzeba ów fakt wymienić w dyskusjach o efektywności obecnego Zarządu Miasta. Warto również dodać, że teren pod targowisko uzyskała Fundacja jeszcze od byłej „nomenklaturowej” dzielnicy. A obecny Zarząd Miasta starał się podważyć prawomocność użytkowania go przez Fundację.

Jeżeli uświadomimy sobie, że wymienione dokonania zostały zrealizowane przez 5 osób (Zarząd Fundacji), które zaczęły w maju 90 r. z kapitałem założycielskim 40 mln zł., że pierwszy rok działania Fundacji to okres poznawania i docierania wzajemnego ludzi i struktur, że Zarząd Miasta nie dał na to wszystko nawet złotówki - to trzeba być wyjątkowym cynikiem albo wesołym, by posądzać Fundację o brak dobrych chęci.

Trzeba wspomnieć o jeszcze jednym istotnym zdarzeniu. W listopadzie 1990 r. Prezesi Fundacji nawiązali kontakt z architektem warszawskim Czesławem Bieleckim reprezentującym spółkę „Dom i Miasto” znaną ze znakomitych - głównie dlatego, że opracowanych pod kątem gospodarki rynkowej - realizacji planów ogólnych dla miasta Jastrzębia. Sam architekt Czesław Bielecki jest znaną osobistością w środowisku architektonicznym, nie tylko polskim.

Prezesi i Czesław Bielecki pojawili się u prezydenta Grzegorza Palki z następującą propozycją: „Ponieważ Łódź nie posiada planów miejscowych (są tylko cztery i to lekko nieaktualne dla kwartałów z rejonu Piotrkowskiej, Nawrot, Roosevelta i Andrzeja (proponujemy by miasto na prawach eksperymentu zleciło Fundacji Ulicy Piotrkowskiej i Sp. „Dom i Miasto” opracowanie planów regulacyjnych wzorowanych na funkcjonujących w RFN i Kanadzie dla dwóch wybranych kwartałów np. z rejonu pl. Wolności. Zaproponowano następnie, aby utworzyć spółkę (z udziałem Zarządu Miasta) która - dysponując planami - opracuje poszczególne zadania inwestycyjne i będzie je wspólnie z inwestorami realizować.

Istotą proponowanego eksperymentu było to, że Fundacja i „Dom i Miasto” brały na siebie ułatwienia w transferowaniu dochodów przez podmioty zagraniczne, co jest rzeczywistym warunkiem pozyskania inwestycyjnego kapitału zagranicznego. Bolewnie dla takich przedsięwzięć p. Balcerowicz był skłonny do udzielenia specjalnych ulg podatkowych. Ryzyko było żadne, bo plany i tak trzeba opracować dla całego miasta. A wykonanie inwentaryzacji prawnej i innych opracowań „Dom i Miasto” oraz Fundacja brały na siebie. W dodatku miasto (jak już wspomniano) miało być

udziałowcem. Prezydentowi G. Palkę propozycja podobnała się i obiecał ją rozważyć, na prośbę gości w miarę szybko, bo czas gorący. Po rozważeniu i podjęciu decyzji obiecał zawiadomić Sp. „Dom i Miasto” i Fundację. Ale albo rozważanie trwało tak długo, albo te decyzje były trudne, albo prezydent zapomniał (nie nie zapisywał podczas spotkań), bowiem do dzisiaj nie ma odpowiedzi i propozycja straciła już połowę swojej aktualności.

W okresie od czerwca 90 r. do kwietnia 91 r. Fundacja skierowała do Zarządu Miasta 8 pism będących deklaracją wstępną natychmiastowego podjęcia szczegółowych negocjacji i działań. Wszystkie były poprzedzone bezpośrednimi rozmowami i stanowiły odpowiedź na ogłoszenia poszukiwania oferentów. Niektóre były kierowane do Zarządu Miasta w nadziei, że ten przedstawi je pod dyskusję Radzie Miejskiej. To był drugi poważny błąd Fundacji, bowiem trzeba było występować bezpośrednio do Rady. Na żadne z tych pism Fundacja nie otrzymała odpowiedzi do dzisiaj (25.05.91 r.). Świadczy to nie tylko o beztrosce, ale o zwykłym lekceważeniu formalnych reguł urzędowej wymiany pism.

Tak wyglądają fakty z dziejów miłości Fundacji Ulicy Piotrkowskiej i Zarządu Miasta.

Jak Fundacja Ulicy Piotrkowskiej wyobrażała sobie tę miłość!

Fundacja rodziła się długo. Od końca 89 roku do maja 90 roku. Faktem jest, że początki inicjatywy jej powstania należą do naczelnika ówczesnej dzielnicy Śródmieście p. Włodzimierza Zajdlera. Ale drugim faktem jest, że już w trakcie rodzenia się statutu, rejestracji (kwiecień 90 r.) i początków działalności dominującą rolę zaczęła odgrywać grupa młodych (niepełna 40-letnich) architektów i plastyków. Po dawnej dzielnicy nie zostało śladu. Dość powiedzieć, że w pięcio- a później czteroosobowy skład Zarządu weszło trzech przedstawicieli tej grupy. W Radzie Fundacji jest ich jeszcze więcej. Owi „młodzi architekci” to absolwenci łódzkiej architektury, dyplomanci z lat 79-81 i młodzi pracownicy tej uczelni. Tworzyli grupę, która prowadziła własną, prywatną walkę polityczną. Świadomie i deklaratywnie nie podjęli pracy w pełnych kurzu i miernoty państwowych, wielkich biurach projektów. Pracowali prywatnie. Również poprzez „Sztukę Polską” realizowali projekty aranżacji Piotrkowskiej i inne opracowania plastyczne. Jeździł i terminowali po świecie. Cały czas rozważając metody pomocy miastu. Za opracowania dotyczące Łodzi otrzymali Grand Prix na najważniejszym w Polsce konkursie architektonicznym: krakowskim Międzynarodowym Biennale Architektury.

W latach 80-tych współtworzyli podziemne życie kulturalne Łodzi na legendarnym już dzisiaj „strychu” (przy ul. Piotrkowskiej zresztą). Z takiej perspektywy łatwo zobaczyć mierność dokonań w mieście, archaizm myślenia wielu przedstawicieli „dojrzałego” środowiska architektonicznego, świadomość potrzeb miasta. (Takie życiorysy okazują się jednak niewarte zaufania. Nie ma w nich bowiem internowania, narodowych flag i krzyża w dłoni). Ludzie ci mieli (i mają, ale mniejszą) nadzieję, że gdy nastąpi demokracja otworzy się możliwość rzeczywistego działania. Poprzez fakty, a nie wizje i deklaracje. Że wreszcie, gdy odeszły za-

patrzono w Warszawie i własny statek i kieszeń oraz władzę absolutną, nieudolne ekipy Niewiadomskich, Lorenzów, Czechowiczów zaczęły się w Łodzi coś budować, zaczęły się ożywiać miasto.

Nikt nie liczył na profesjonalizm nowego Zarządu Miasta. Bo wybrany został z ludzi, którzy siłą rzeczy nie mieli szansy uczyć się wcześniej rządzenia Łodzią. Każdy to rozumie. Ale wszyscy liczyli i liczą na dobrą wolę, uczciwość i kulturę rządzenia. I to też chyba dla każdego jest oczywiste. Każdy z członków Zarządu Miasta odpowiadając „tak” na pytanie „czy chcecie podjąć się obowiązków” - wziął na siebie ogromną odpowiedzialność.

Fundacja Ulicy Piotrkowskiej miała nadzieję, że Zarząd Miasta z zadowoleniem podejmie z nią współpracę. By dać gwarancję uczciwej gry zaproponowano przecież wiceprezydentowi E. Zawadzkiemu funkcję przewodniczącego Rady Fundacji, którą przyjął pismem z dnia 24.07.90 r. - i to jest owo jedyne pismo - odpowiedź, jaką nadesłano do Fundacji z Zarządu Miasta. Mielismy nadzieję, że możliwość pozostawienia w mieście zysków z działalności Fundacji zamiast odprowadzania ich w postaci podatków do Warszawy, będzie jedną z metod obrony miasta przed państwem. Wydawało się, że taka strategia jest wymarzoną dla realizacji przedsięwzięć Zarządu Miasta związanych z Piotrkowską. Nigdy nie występowaliśmy o wyłączenie czy monopol na Piotrkowską, chcemy być jedną z instytucji dźwigających życie miasta, ale nie jedyń. My wywiązaliśmy się z większości obietnic. Zarząd z żadnej. Bo nawet przewodniczący Rady Fundacji prezydent E. Zawadzki zjawił się tylko raz na posiedzeniu Rady. Nadzieja najistotniejsza była podobna jak wszystkich łódzian - że prezydenci Łodzi będą doceniać wysiłki innych, że zechcą walczyć o rozwój miasta, że będą mieli zauważalne efekty własnej działalności, że wzbudzą w mieście rozsądną grę ekonomiczną, a nie gierki polityczne.

Zarząd Miasta nie stworzył dla Fundacji żadnych przywilejów i ułatwień, chociaż biorąc pod uwagę społeczny charakter fundacji oczekiwanie ulg czy zacieśnionej współpracy nie wydaje się bezzasadne.

Zarząd Miasta uniemożliwia działalność Fundacji również pośrednio. Otóż bardzo wielu użytkowników Piotrkowskiej (od dużych firm po pojedynczych „sklepiarzy”) nie ma ochoty inwestować w Piotrkowską, bo bezmyślna i krótkowzroczna polityka Zarządu Miasta czyni ich byt niepewnym. Kto zrobi dobrą nawierzchnię na Piotrkowskiej, czy nawet własną witrynę, jeżeli jutro ustalony czynsz wyrzuci go z lokalu. Polityka Zarządu to nie zachęcanie, ale zniechęcanie ludzi do tworzenia miasta.

Co teraz? - Podsumowanie.

1. Zbierając liczne sygnały użytkowników Piotrkowskiej i mieszkańców czujemy potrzebę zorganizowania nie współpracy, ale obrony przed Zarządzeniem Miasta.
2. Okazuje się, że trzeba bezpośrednio zwracać się do odpowiednich Komisji Rady Miejskiej i pomijać Zarząd Miasta.
3. Mieszkańcy miasta Łodzi muszą jak najszybciej nauczyć się egzekwowania podstawowych zasad demokracji: że władza przez nich wybrana jest od nich wyłącznie zależna i może nie być drugi raz wybrana.

Za Zarząd Fundacji ul. Piotrkowskiej
Marek Janiak

Cd. ze str. 1

by poczuć się po staremu. Za luksusowymi sklepami, w podwórkach stoją jeszcze obskurne, piętrowe, drewniane komórki z balkonikami poobwieszanymi suszącą się mizerną bielizną.

Już dawno uwspółcześniono wszystkie partery kamienic, przystosowując witryny do jednego rodzaju ram i szyb, teraz „upiększa się” je kratami i rurami gazowymi tylko częściowo wkutymi w ściany. Plac Wolności pyszni się nową, estetyczną nawierzchnią, jaśnieje latarniami. Kilka kroków dalej, na tonącej wieczorem w ciemnościach głównej ulicy miasta nie trudno na wybojach skrócić nogę.

Wszystkie lokale użytkowe na Piotrkowskiej należące do PGM są przeznaczone na sprzedaż. Część sklepów pozostaje jeszcze w rękach spółek pracowniczych, ich umowy ważne są do końca czerwca. Po tym terminie znikną z Piotrkowskiej kolejne stare placówki handlowe i usługowe.

W drodze konkursu ofert zmieniły właścicieli cztery sklepy, nowy czynsz wynosi teraz od 300 do 500 tys. zł z 1 m². W marcu na pierwszym przetargu sprzedano sześć sklepów. Rekoradową stawkę wylicytowano dla placówki przy Piotrkowskiej 142 - 660 tys. zł z 1 m², nieco niższy czynsz (500 tys.) płaci PGM-owi „Galtex”, aktualny gospodarz lokalu po byłym „Domu Dziecka” (kamienica nr 81).

Licytacja podczas drugiego przetargu na wysokość czynszu za lokale użytkowe na Piotrkowskiej w strefie „O” przesłała najniższe ocze-

Dwa oblicza Pietryny

wskiej w strefie „O” przesłała najniższe oczekiwania. W sali obrad UME licznie stawili się biznesmeni, niektórzy obowiązkowo z teczką zapinaną na szyfrowy zamek, z gumą do żucia w ustach i panią do towarzysystwa. Cena wywoławcza 200 tys. zł z 1 m², kwoty postąpię 10 tys.

Początkowo szło dość niemrawo, dopiero przy piątym sklepie (Piotrkowska 56) zaczęła się walka - już nikt nie licytował po 10 tys., 250... 300... 400... Stało na 700. Przy sklepie pod numerem 58 zaczęło się spokojnie, dopiero później dały o sobie znać emocje. Przebijano o 50, o 100 tys., przy 700 po sali poszedł pomruk. „Czegoś takiego jeszcze nie widziałem” - pukał się w głowę jakiś pan. Wygrała osoba z numerkiem 16, która zaoferowała 890 tys.

Punktem kulminacyjnym stała się licytacja sklepu przy Piotrkowskiej 97. Ktoś od razu zaproponował 400 tys., część licytujących włączyła się po jakimś czasie, jakby niskie czynsze ich nie interesowały. Już wydawało się, że 600 tys. będzie kwotą ostateczną, ale w ostatniej chwili znów podbito o 10 tys. W zebrańach odezwała się żyłka hazardzistów, dopiero gdy numer 17 zaproponował 900 tys. (razy 100 m² daje czynsz 90 mln miesięcznie), reszta zrezygnowała. Po tej dramatycznej potyczce część ludzi opuściła salę.

W sumie sprzedano 14 lokali, z czego 2 kupi-

ły firmy warszawskie. Pewien pan nabył dwa sklepy (na marginesie należy dodać, że kilka dni wcześniej wygrał przetarg na jeszcze jeden lokal poza Piotrkowską). Niektórzy zastanawiali się w jaki sposób uda mu się zarobić na sam czynsz, nie mówiąc już o zysku.

Gdy opadły emocje, w kuluarach dało się słyszeć różne komentarze:

Pani: „Uciecha na dwa dni. Mój czynsz to szaleństwo, ledwo na niego zarobię”. Pan: „To po co pani licytowała?” Pani: „No wie pan, emocje...” Pan: „Lubi pani hazard”.

„Przyjdzie czas, że nie będzie chętnych na sklepy - rośnie bezrobocie, maleje popyt na luksusowe artykuły. Ludzie tak wysoko licytujący czynsze nie mają realnego spojrzenia na sytuację.”

Zbigniew Pytko, kierownik zespołu lokali użytkowych w Wydziale Lokalowym UME: „Urząd zdecydował się na przetarg, nie na konkurs ofert, ponieważ obywatele domagają się jawności.”

Lech Sobon, inspektor Wydziału Lokalowego: „Z wcześniejszych rozmów wynikało, że rezegeja, ludzie nie mają pieniędzy, są wstrętni do w wydawaniu pieniędzy. Dzisiejsza licytacja pokazała, że jest inaczej.”

Przy niektórych lokalach wystawianych na licytację, Urząd Miasta określa typ działalności, jaka ma być w nich prowadzona. Zazwyczaj za-

strzeżenie to ma na celu utrzymanie dotychczasowego profilu placówki, ale np. warunkiem otrzymania sklepu po mroźniakach jest otwarcie w nim galerii sztuki. Mimo tych uregulowań robi nam się na Piotrkowskiej dosyć monotonię. Większość nowych sklepów to telewizory, kosmetyki, delikatesy i ciuchy, ciuchy, ciuchy. Nie uświadczysz takich rajstap, krajowych tkanin ani proszku „Ixi”.

Nie ma nic złego w reprezentacyjnym charakterze głównej ulicy miasta. Mito popatrzyć na perfumy od Armaniego za 470 tys. i samochód za 135 mln, pod warunkiem, że po zwyczajne artykuły nie trzeba chodzić w drugi koniec miasta, a punkty usługowe, choć nie na Piotrkowskiej, to jednak wciąż są w zasięgu ręki.

Piotrkowska stanie się ulicą naprawdę elitarną dopiero wtedy, gdy zamknie się na niej ruch kołowy i zlikwiduje międzynarodowy handel okryćmi, nareczny i nałóżkowy, gdy powstanie mnóstwo małych sympatycznych knajpek czynnych długo w noc, a zaplecze kamienicy będzie równie zadbane jak jej front. Będzie w Łodzi reprezentacyjna ulica z prawdziwego zdarzenia, gdy na klatkę schodową wejdzie się bez obawy o napaść lub wdepnięcie w coś brzydkiego, gdy znikną dziury w chodnikach, brudne szyby, strzępy afiszy i zepsute latarnie.

Jedna ulica Zachodu nie czyni, a że kasa miejska szczupła, więc jeszcze daleka droga przed nami. Póki co nad Piotrkowską smętnie powiewa transparent zapraszający do teatru na „Ciężkie czasy”. Jakby w życiu było mało...

Monika Matuszak

Czy Łódź przestanie być miastem dużego przemysłu?

stało się zadość. Nowa Rada Pracownicza również zaakceptowała projekt przekształcenia się w jednoosobową spółkę skarbu państwa i załoga odechnęła. W dalszym ciągu czekano na poprawę.

Dyrekcja systematycznie informowała o kolejnych etapach operacji. - *Mamy business plan. Kosztował 210 milionów złotych - głoszą na zebraniach. Wszystkie dokumenty trafiły do ministerstwa, czekamy już tylko na odpowiedź -* komunikowano optymistycznie w styczniu tego roku.

**Ta odpowiedź brzmiała krótko:
"NIE NADAJECIE SIĘ".**

Nie nadajecie się, bo jesteście za słabi, nie macie pieniędzy i perspektyw. Pan w minister-

W gabinetach im to przeszło. Wbici w głębokie i wygodne fotele wysłuchiwali opowieści o atrakcyjnej przyszłości. Firma Legler to wielkie i bogate przedsiębiorstwo. Zapewni maszyny, najwyższej klasy surowce i wzornictwo, a przede wszystkim zbyć na całym świecie i atrakcyjne zarobki. Szkolenia odbywać się będą w przepięknej, słonecznej Italii. Zapanuje porządek i dobra organizacja. Jednym słowem bistonowe Eldorado.

- *Ale sprzedaż wiąże się ze zwolnieniem całej załogi -* bronili się jeszcze niektórzy z delegacji. - *Załoga to jest na statku, a wy jesteście tylko pracownikami -* ripostowali natychmiast ludzie z ministerstwa, dodając, że Włosi obiecali preferować przy zatrudnieniu byłych pracowników. *To poważna i solidna firma. Można więc także spróbować*

gan i cieszyli się, że ktoś rozbija zakładowe kliki.

Pierwszego zawodu doznali w czasie spotkania z Włochem - nie chciał zrozumieć dlaczego to on ma im wypłacać odszkodowania.

Szok wywołała informacja o wielkości zadłużenia. *Jesteście bankrutami -* powiedział im likwidator Henryk Zagórski i dodał - *możecie mieć pretensje tylko do siebie, w czwartym kwartale zakład dawno się jeszcze uratować.*

**Teraz czują się przegrani
i oszukani.**

Przez ministerstwo i dyrektora, który „okazał się marionetką pociągającą za sznurki przez mini-

Wyrok śmierci na Bistonę

stwie zdumionym przedstawicielom załogi powiedział wprost: „Na tych rajtuzach, które produkujecie, daleko się nie zajdzie”.

W fabryce jeszcze trwał szok wywołany załamaniem się tak dobrego planu, gdy przed biurkiem na ulicy Dąbrowskiego pojawiły się eleganckie samochody z włoskimi rejestracjami. - *Nazywamy się "Legler" i pragniemy was kupić -* powiedzieli goście z oliwkową karnacją i na pożegnanie zostawili krótki list intencji.

Zanim ktokolwiek zdążył dokładnie przeanalizować zawartość intelektualną tego dziejowego w historii przedsiębiorstwa pisma, bistonowych szefów wezwali warszawskie ministerstwo. Sens przemowy resortowych urzędników był jednoznaczny. Na ofertę Włochów należy odpowiedzieć pozytywnie i załoga ma zgodzić się na sprzedaż fabryki.

Zebranie w Bistonie było długie i burzliwe. Dla szeregowych pracowników najdziwniejsza stała się wolta w zachowaniu dyrektora. Od ponad roku nieustannie szukający samodzielnego wyjścia z trudnej sytuacji ekonomicznej przedsiębiorstwa nagle wyraził opinię, że jedyne wyjście to pójść na służbę do Włochów.

Ludzie nie dowierzali i aż w piętnaście osób ruszyli delegacją do ministerialnej Warszawy. Jadąc tam zdecydowani byli bronić polskiej własności.

wynegocjować z nimi, by należne prawem odszkodowania przy grupowych zwolnieniach wziąć w dolarach - mówili ci od przemysłu. To zadziało. Miraż płacącej „zielonymi”, znanej wszystkim kasy Bistony na I piętrze był tak obiecujący, że się z namowami Warszawy zgodzono.

**Final rozмовy postawił kropkę
nad "i".**

- *Jeśli się nie zgodzicie -* usłyszeli w ministerstwie - *to i tak przejdziecie. Nie wystarczy wam pieniędzy na dywidendę, podatki, co pozwoli nam ogłosić waszą upadłość i zrobić z wami co chcemy...*

Po powrocie przystąpiono więc szybko do podpisywania potrzebnych dokumentów. Wystawiała je dyrekcja. Rada Pracownicza, związki zawodowe. Nikt nie przewidywał, iż w miesiąc później wszyscy będą gorzko tego żałować.

**Początkowo właściwie byli
zadowoleni.**

W końcu mieli pracować w nowoczesnym i dynamicznym przedsiębiorstwie. Zbrzydł im bała-

sterialnych urzędów” - stwierdził przewodniczący związków branżowych Marek Maciejewski.

- *Zrobili co chcieli -* dodał pracownik wydziału pończosznego Jan Najderek - *podaliśmy im zakład na tacy. - Ktoś wziął za to grube pieniądze -* konstataje pracownik warsztatu Zbigniew Kwieciński - *bo jak inaczej wytłumaczyć ten pośpiech? Dyrektor dostał zaliczkowo 40 mln zł., a nam się mówi, że nie ma dla nas pieniędzy. Dyrektor, gdyby chciał, to zrobiłby tę spółkę, ale się bał, albo już mu nie zależało.*

- *Kurde, powiem pani to w oczy, to "Solidarność" popsuła ten interes, ciągle tylko jeździli do Warszawy, stali pisma na dyrektora i robili zamieszanie -* wybucha Włodzimierz Radecki, członek Rady Delegatów Bistony.

W odruchu desperacji przedstawiciele załogi pojechali do Kancelarii Prezydenta RP ufając, że prezydent - choć nie są hrabiną Branicką ani Janem Pietrzakiem - znajdzie dla nich czas.

B. Kostrzewska



Fot. M. Markowski

jakim stała się szokowa podwyżka oprocentowania kredytów. Gdy w lutym okazało się, że zagrożone są płace, w gabinecie dyrektora, przy jego biurku, stanęła brudna taczka, wyrwana palaczowi z kotłowni. Dyrektor już nie wrócił do pracy, a taczka osobiście wyprowadził jego następcę. Za nowego szefa początkowo zaczęło iść lepiej: we wrześniu pensje podskoczyły o ok. 400 tys. złotych. Pod koniec roku rozpoczęły się przmiarki do prywatyzacji. Załoga była za akcjonariatem pracowniczym, ale w grudniu, przy wycenie majątku, okazało się, że ze względu na kiepski stan finansów nie wchodzi to w rachubę. Z kolei dyrektor przedstawił własny plan prywatyzacji. Miał być dalsze zwolnienia i tylko kilka zakładów do przetrwania. Zdaniem związkowców, projekt nie zawierał ekonomicznego uzasadnienia. Zaprotestowali, a dyrektor w odpowiedzi złożył rezygnację. W jego ślady poszła zaraz główna księgowa oraz dyrektor ds. produkcji.

Na dzień przed odejściem naczelnego przedstawiciela związków zawodowych i rady pracowniczej odwiedził Urząd Wojewódzki, gdzie dowiedzieli się wreszcie, jakie jest prawdziwe zadłużenie zakładu. Nie 2-miliardowe, jak wyjaśniał im wcześniej dyrektor, ale ołbrzymie, bo (po ostatecznym zbilansowaniu) prawie 14-miliardowe!

Na konsekwencje nie trzeba było czekać długo. Bank zablokował konto, a załóżdże pozostało już tylko wykarczowanie resztek produkcji, przerób zapasów. A jedyny, który pozostał, dyrektor ds. handlowych, martwi się już tylko o pensję dla pracowników, żeby było jej z czego wypłacić.

- *Czy pan wie -* mówi spokojnie Bogusław Twardowski - *że popyt na pieluchy dla niemowlaków zmniejszył się 10-krotnie, a naszych chusteczek do nosa kupuje się jedną osiemnastą tego, co kiedyś?*

- *Skończył nas -* podsumowuje - *plan Balcerowicza, który doprowadził do recesji i spadku popy-*

tu, a także zalew wyrobów z Azji. Ktoś to chyba mógł przewidzieć, że otwierając szeroko granice dla konkurencji, zniszczymy rodzinny przemysł...

Awantura o likwidatora

Gdy już było wiadomo, że nie obejdzie się bez likwidacji, do „Progalu” zawitał kandydat na syndyka-likwidatora z ramienia Urzędu Wojewódzkiego, Janusz Fijałkowski. Pojawił się w zakładzie jeszcze przed oficjalnym, sądowym ogłoszeniem upadłości, aby czym prędzej rozpocząć wycenę przedsiębiorstwa. Chodziło konkretnie o wycenę 3 zakładów, na które znaleźli się kupcy. Wycenę tę postanowił zrobić on sam, Janusz Fijałkowski „wraz z zespołem”.

Dyrektor Bogusław Twardowski, który podpisał z nim odpowiednią umowę, przyjął to bez zdziwienia. - *W końcu -* zauważa - *i tak by trzeba wyznaczyć jakąś firmę do wyceny. Czy wzięłaby za usługę taniej? -* zapytuje retorycznie.

Innego zdania była załoga, której bardzo nie spodobał się fakt, iż za wycenę tych 3 zakładów przyszły likwidator wystawił sobie (i kilku innym osobom) rachunek na łączną sumę 50 mln złotych.

- *Ludzie się wściekli, gdy o tym usłyszeli -* mówi szefowa związku branżowego, Bożena Gmerek - *bo wielu z nich zarabia teraz po 550 tys. zł miesięcznie...*

- *Tym bardziej -* dodaje Renata Klimek, szefowa zakładowej „Solidarności” - *że syndyk przedstawił się jako członek Zarządu Regionu.*

Prawdziwa awantura wybuchła jednak po szkoleniu, jakie przeprowadził J. Fijałkowski na temat m.in. zakładania spółek pracowniczych. Z relacji pracowników wynika, iż przekonywał ich, aby „nie liczyli na odprawę”. Informacje, jakie przekazał im na temat spółek, także okazały się myl-

ne, o czym dowiedzieli się poniewczasie, gdy do zakładu przybył inny doradca Zarządu Regionu, z własnym wykładem na te same tematy.

- *Słowem -* relacjonują zgodnie szefowe związków - *trzeba było wystąpić o zmianę decyzji co do osoby likwidatora.*

Ze skargą dotarli do Andrzeja Słowika, a potem zaprotestowali przeciwko kandydaturze J. Fijałkowskiego na posiedzeniu sądu, gdy zapadła decyzja o upadłości „Progalu”. W związku z protestem termin rozpoczęcia postępowania upadłościowego został przesunięty, do czasu wyznaczenia nowego likwidatora.

A niedoszły likwidator, który otrzymał tylko część zapłaty za wycenę, zapowiedział, iż będzie się starał odzyskać całość należnej sumy.*

Czy znajdzie się kupiec?

Ludzie z „Progalu” czują, że znaleźli się w beznadziejnej sytuacji. Gdyby tylko chodziło o nich, pewnie znalazłby się w końcu jakiś ratunek. Ale gdzie się nie obróć, wszędzie likwidacja. Pokrewne zakłady z branży - w dużych trudnościach albo w likwidacji. Dotychczasowi odbiorcy, WPHW z Nowego Sącza, Kalisza, Krakowa - w likwidacji, mają już swoich syndyków. Liczą więc jedynie na to, że agonia „Progalu” nie będzie zbyt długa. A niektórzy mają nadzieję, iż znajdzie się jakiś kupiec, który zatrudni ich przy tej samej maszynie, przy podobnej robocie, a choćby i w tych samych murach. Tylko czy rzeczywiście się znajdzie?

A. Gębarowski

* Janusz Fijałkowski udzielił w poprzednim numerze „Odgłosów” wywiadu pt. „Patrzeć na ręce” - oczywiście, miał na myśli ręce cudze. Jak się teraz czuje, gdy inni oglądają pod światło jego własne?

Sytuacja większości łódzkich przedsiębiorstw jest katastrofalna. Z analizy Powszechnego Banku Gospodarczego wynika, że z 60 dużych zakładów tylko 18 nie ma poważnych problemów. Spośród pozostałych 14 ma wstrzymane kredytowanie, a 28 jest pod „specjalnym nadzorem banku”. Zadłużenie przemysłu lekkiego w Łodzi sięgnęło sumy 350 mld zł. W równie złej kondycji są inne przemysły, np. elektromaszynowy („Majed”, „Fonica”). Jednocześnie nic nie wskazuje na poprawę. Szykują się liczne bankructwa, zaś liczba bezrobotnych (obecnie ok. 70 tys.) sięgnąć może pod koniec roku 120 tysięcy.

Poniżej - o zbliżającej się likwidacji „Bistony” i „Progalu”. W najbliższych numerach znajdą się artykuły o sytuacji w innych dużych przedsiębiorstwach Łodzi, będących dawniej „wizytówką” miasta. Na ich podstawie będziemy się starali odpowiedzieć na pytanie: Czy Łódź przestanie być wkrótce miastem dużego przemysłu?

1300 pracowników Bistony i Rolteksu zdecydowało, aby od 31 maja pójść na bruk. Teraz mają z tego powodu kaca.

Historia zaczęła się bardzo niewinnie. Z dniem 1 kwietnia 1990 roku dyrekcja Bistony postanowiła przeprowadzić reorganizację. W miejsce jednego przedsiębiorstwa miały od tej chwili działać dwa: jedno pod nazwą Bistona, drugie jako Rolteks. Majątkiem, pracownikami, a nawet dyrekcją podzielono się równo. - *Robimy to, żeby zwiększyć operatywność firmy. Małe zakłady działają szybciej i lepiej -* zakomunikował wówczas Radzie Pracowniczej i związkowi zawodowemu dyrektor Włodzimierz Wojtas. Zgodzono się bez szemrania.

Ludzie pracowali jak dawniej, cierpliwie czekając na to, co przyniosą te spektakularne zmiany organizacyjne. W końcu okazało się, że Rolteks nie przynosi żadnego dochodu, a Bistona minimalny. Z podwyżkami było inaczej - w Bistonie ich nie było, a w Rolteksie dawano.

Dyrekcja jednak nie zrezygnowała z dalszych przekształceń i zaproponowała, by przekształcić przedsiębiorstwo w jednoosobową spółkę skarbu państwa. Pozwoliłoby to uciec od popiwku i dawało swobodę samodzielnego zawierania umów z wielkim światem zachodniej finansjery. Ludzie i ten plan poparli.

Zaraz potem miejscowa Solidarność dopatrzyła się, że Rada Pracownicza została źle wybrana, więc dla dobra demokracji należy zacząć wszystko od nowa i chwilowo nie wolno honorować decyzji tego organu. Prace przekształceniowe zwolniły tempo, co zdaniem obecnej dyrekcji miało zasadniczy wpływ na późniejszy przebieg wydarzeń.

W końcu zakładowi działacze uporali się z wymogami demokracji i wszelkim formalnościami

Przedłużona
agonia

Największy zakład chałupniczy w Polsce zbankrutował. 9 maja Sąd Rejonowy w Łodzi podjął decyzję o wszczęciu postępowania upadłościowego wobec Przedsiębiorstwa Produkcji Galanterii i Odzieżowej „Progal”. Ten duży łódzki producent odzieży dziecięcej i młodzieżowej zatrudniał rok temu 4,6 tysiąca pracowników, w tym 3,5 tysiąca chałupniczek. Obecnie, po zwolnieniu „domowej” załogi i części administracji pozostało około tysiąca osób, oczekujących na likwidację „Progalu”.

Z ekipy kierowniczej przedsiębiorstwa ostatecznie jedynie dyrektor ds. handlowych. Złożył wprawdzie wymówienie, podobnie jak wszyscy dyrektory, ale - jak mówi - widząc ucieczkę z „tonącego okrętu” nie miał sumienia pójść w ich ślady. Pozostał - samotny - niczym na posterunku.

Bezradność chałupników

Kłopoty „Progalu” rozpoczęły się jednocześnie z rygorami planu Balcerowicza. Przedsiębiorstwo rozbite na 14 zakładów, każdy w innym miejscu, z niewielką częścią „zespołowych” pracowników, opierało się w przeszłości na ulgach, wiążących się z zatrudnieniem chałupników. Kiedy tych ulg zabrakło, „Progal” okazał się bezbronny wobec załamania się zbytu. Nie pomogły grupowe zwolnienia ani „odchudzenie” administracji. Stworzenie sieci sklepów fabrycznych tylko odwróciło upadek. Próby nawiązania kontaktów handlowych z Rosją okazały się bezowocne.

Na nic zdały się interwencje Pawła Lipskiego, szefa Sekcji Krajowej Przemysłu Lekkiego „Solidarność”, notabene na etacie w „Progalu”. Owszem, przybył raz nawet na naradę Jacek Kuroń. Tłumaczyli mu, że w obecnych warunkach chałupnictwo jest bez szans. Dzisiaj niektórzy w „Progalu” są zdania, że te interwencje tylko im zaszkodziły. Rodziły zawsze jakąś nadzieję, a trzeba było, widząc co się dzieje, czym prędzej likwidować przedsiębiorstwo. Rok zmarnowany - mówią - na bezsensowne przeczekanie...

Skończył ich Balcerowicz

Ubiegły rok rozpoczął się w „Progalu” od ciosu,

Cd. ze str. 1

Procent ryzyka

- Spotykał się pan z dziećmi. Czy dzieci reagują podobnie jak dorośli, czy są jakieś różnice?

- Jedni i drudzy są ludźmi. Trzeba jednak brać pod uwagę wiek, mniejszą ilość wiadomości i różny rozwój uczuciowości u dzieci.

- Czy metoda, którą pan stosuje, likwiduje skutki choroby, czy też może zlikwidować jej przyczynę?

- Ja nie mam metody. U mnie jest rozumienie, orientacja w mojej pracy. Co to jest metoda? Tu leży klucz na stole. Czy jest jakaś metoda żeby go poruszyć? Jest. Ale trzeba wiedzieć, jak to zrobić, żeby niczego nie potracić, nie przewrócić. To już nie jest metoda, a właśnie orientacja, zasób wiadomości, zrozumienie. I dlatego w moim przypadku najważniejsza jest orientacja, znajomość zagadnienia. A metody? - każdy ma swoje metody. Zależy to i od wyglądu zewnętrznego, od języka jakim się posługuje, itd. Na przykład, pan, ze swoją brodą miałby zupełnie inną metodę, przypuszczam, że nie musiałby pan zupełnie nic mówić.

- No, dobrze. Czy więc ta orientacja może likwidować przyczynę, czy tylko skutki?

- Jeśli u człowieka są polipy żołądka, a później one znikają, to ten człowiek nie będzie się zastanawiał nad tym, czy zlikwidowano przyczynę, czy to jest skutek. Jest mi nawet trudno odpowiedzieć na to pytanie. Nigdy nie myślałem, że takie pytanie można zadać. Dla zdrowych ludzi nie jestem psychoterapeutą. Pojęcie zdrowia jest - zresztą - względne. To, że człowiek chodzi do pracy, wcale nie musi oznaczać, że jest zdrowy. Jeśli zatrzymać ludzi, którzy idą do fabryki i poprosić ich, żeby otworzyli usta, okaże się, że usta pełne są zepsutych zębów. I to jest już choroba. Ktoś ma duży brzuch, inny odciski, u trzeciego jeszcze coś innego. Dlatego, praktycznie, nie ma zdrowych ludzi. Co innego, że nie wszyscy są od razu umierający i nie wszyscy muszą być operowani. Moja cała praca to korekcja tego, co nieprawidłowe w ludzkim zdrowiu. Przeprowadzenie normy, powrót do normy.

- Przeprowadził pan w telewizji znieczulenie na odległość. Czy myślał pan o tym, co by się stało, gdyby nawaliła urządzenie transmisyjne i urwał się kontakt z pacjentką?

- Gdyby zawiodła technika, nie stałoby się nic

straszego, wręcz przeciwnie. Chciałbym w przyszłości przeprowadzać takie „mosty” bez mego udziału. Postawię np. swoją fotografię i włączę telewizor. Dlatego, że jeśli ukierunkowuję konkretny proces, to może on trwać dużo dłużej. Oczywiście, że w każdym działaniu, na każdym kroku jest jakieś ryzyko. W tej chwili może zawalić się sufit lub spaść żyrandol. Gdzie jest gwarancja, że za chwilę ten stół się nie rozleci, a magnetofon nie porazi prądem? Gdyby tak myśleć, to trzeba by schować się do piwnicy, ale tam mogą pojawić się szczury. Zawsze może zdarzyć się coś nieprzewidzianego. I trzeba się z tym liczyć. W mojej pracy procent ryzyka nie jest jednak duży.

- Powiedział pan kiedyś, że możliwa jest - choć w dalekiej przyszłości - nieśmiertelność.

- Nie, ja powiedziałem, że osiągnięcie przez człowieka absolutnej wiedzy o człowieku - to jest nieśmiertelność. Jeśli człowiek będzie wiedział o sobie wszystko, na każdym poziomie atomowym, molekularnym, elektronowym; jeśli człowiek będzie znał fenomenalnie genetykę - to będzie nieśmiertelność. Absolutna wiedza o człowieku jest jednak nie do osiągnięcia. A nawet jeśli to byłoby osiągalne, to nieprędko. Do tego czasu nastąpiłyby zmiany, że Ziemia zginie. Czas nie pozwoli, żeby człowiek zdobył pełną wiedzę o sobie.

- Czy jest jednak możliwe, żeby człowiek żył sto, dwieście lat?

- Myślałem na ten temat i doszedłem do wniosku, że niemożliwe jest możliwe, ale możliwe jest niemożliwe.

- Co ludzie mają zrobić, gdy nie ma pana ani w telewizji, ani „na żywo”, ani nigdzie. Jak sobie pomagać?

- Człowiek może pomóc sobie względnie. Ile by się sam nie całował, nie odczuje tego, co powinien. Ile by się sam nie gładził, to nie będzie „to” odczucie. Są takie obszary, gdzie nie można pomóc samemu. Mogę sobie nakazać, że będę spokojny, że nie będę palił - ale nie mogę nakazać sobie, żeby zmienił mi się kolor włosów, nie mogę nakazać sobie, żeby zginęła mi przepuklina. Niemniej jednak, zdarzają się pojedynczy ludzie, którzy mogą dojść do takich umiejętności. W niektórych przypadkach, ale tylko w niektórych, można pomóc sobie samemu. Natomiast z drugiej strony - w wielu przypadkach i lekarz nie pomoże. Jeśli nie ma programów telewizyjnych ze mną, co robić - trzeba czekać...

Cd. w następnym numerze

Rozmawiał:

Marek Koprowski

Pytania do dr Kaszpirowskiego (1)

Rozpoczynamy drukowanie odpowiedzi dra Anatolija Kaszpirowskiego na pytania przysyłane doń w listach od sympatyków (i nie tylko). Ponieważ doktor jest zbyt zajęty, by na każdy list odpowiedzieć własnoręcznie, robi to za naszym pośrednictwem. Jeśli mają Państwo inne pytania, prosimy kierować je do redakcji. Wszystkie dotrą do A. Kaszpirowskiego, na wszystkie postara się odpowiedzieć...

- Jaki jest pana stosunek do środków farmakologicznych?

- Obserwujemy bardzo duży postęp w wielu dziedzinach medycyny, na przykład w chirurgii. Im bardziej jednak bezpieczna staje się chirurgia, tym niebezpieczniejsza staje się terapia. Dlatego, że ciągle wyrzuca się na rynek nowe i wciąż nowe leki. Myślę, że im więcej będzie rozwój przemysłu farmaceutycznego, tym coraz bardziej niebezpieczna będzie farmakologia. Stwarza ona bardzo duże niebezpieczeństwo związane np. z alergią. Dlatego trzeba mieć ogromną wiedzę w tej dziedzinie, by wiedzieć, komu jakie lekarstwo podać. Dzisiejsza farmakologia to jest już prawie zamach na człowieka. Oczywiście, są stare wypróbowane lekarstwa. Ja bardzo przestrzegam, aby moi pacjenci przyjmowali tylko leki sprawdzone i stosowane od wielu lat. Nie trzeba spieszyć się do nowych leków. Nie chcę robić tutaj żadnej antyreklamy, niemniej jednak chcę powiedzieć, że im więcej chemii, tym gorzej. Człowiek uzależnia się od środków chemicznych. Są jednak choroby, przy których bez takich preparatów nie można się obejść.

- Czy próbował pan leczyć kolorami i co pan sądzi o chromoterapii?

- Uważam, że jest to także psychoterapia. Można próbować leczyć długopisem, chałwą albo pa-

stą do zębów. Tylko że do tego trzeba dodać odpowiednie działanie i powiedzieć jasno, że dzisiaj będę pokazywał jakiś przedmiot i on będzie leczył. Albo: będę liczył do trzech i przy liczbie trzy jakaś dolegliwość ustąpi. Bowiem w rzeczywistości ukryta jest za tym potrzebna informacja. A leczy tylko jedno na świecie: właśnie ta informacja. Nie kolor, czerwony czy biały. Jeśli jednak poda się informację, że leczy kolor czerwony, to będzie leczył. A jeśli powie się, że jest to kolor zły, wtedy będzie miał niekorzystny wpływ na człowieka. Na przykład długopis. Jeśli powiesz ludziom: „patrzcie na niego, a u wielu z was podniesie się ciśnienie”, to na widok długopisu u wielu z nich ciśnienie się rzeczywiście podniesie.

- Jestem bioenergoterapeutką, podobno dobrą. Działam w Polskim Towarzystwie Psychotronicznym. Towarzystwo chciało pana kiedyś zaprosić, ale pan się nie zgodził. Dlaczego tak bardzo nie lubi pan bioenergoterapeutów, przecież oni też pomagają ludziom?

- Ja bardzo lubię tych, którzy pomagają innym ludziom, ale nie lubię, kiedy swoją pomoc przedstawiają nieprawdą. Chodzi o to, że wszyscy bioenergoterapeuci są psychoterapeutami. I to jest w porządku. Oni jednak mówią, że jak dotkną kogoś, to poprawi się jego zdrowie. Albo: czy czujecie ciepło, będę emitował ciepło. Albo: proszę poczekać, będę teraz leczył wasze stawy. To znaczy, że w rzeczywistości zajmują się najczystsza psychoterapią i dlatego powinni nazywać siebie psychoterapeutami. Wtedy będę ich lubił i będę się z nimi spotykał. Ale niech nie wmawiają, że łapią jakąś energię z kosmosu, albo, że np. w czwartek zaczęli odczuwać jakieś prądy. Nie trzeba mówić o tajemniczych prądach, bo i bez takiej auto-reklamy można robić wielkie rzeczy.

Cd. ze str. 1

i gdy zauważam, że innych coś drażni, zajmuję się tym. Jest w nas mnóstwo wewnętrznego oportunizmu, niechęci do otwartego wypowiedziania się. Czasem ludzie w listach do mnie dziwią się skąd we mnie tyle odwagi.

Najpierw powstaje tekst, potem Olga Lipińska wybiera z „banku” lub zamawia u autorów piosenki. Ostatnio często wykorzystuje wciąż aktualne wiersze Gałczyńskiego. Z piosenek tworzy się szkielec kabaretu. Potem Czesław Majewski i Włodzisław Korcz komponują muzykę i aktorzy mogą rozpocząć próby, a Dorota Furman przygotowuje choreografię. Kiedy wszyscy umieją śpiewać, wchodzi do studia radiowego, gdzie pod czujnym okiem szefowej każdy nagrywa swoje wokale. Po zgraniu playbacków można stawiać przed kamerą, oczywiście wcześniej wszystko przećwiczyć (podobno przy pierwszym czytaniu tekstów aktorzy świetnie się bawią i pękają ze śmiechu).

Kabaret rodzi się w ciągu miesiąca, z czego tygodni to nagrania w studiu telewizyjnym. Kończy się montaż i już trzeba zaczynać nowe próby. Trudno orzec, kiedy autorka znajduje czas na wymyślanie i pisanie kolejnych programów.

- Kabaret musi być aktualny. Co miesiąc robię nowy, w związku z czym w ogóle nie mam życia prywatnego - narzeka O. Lipińska. - Każdy program trwa 50 minut, co odpowiada połowie filmu muzycznego, który kręci się pół roku, mając aktorów do wyłącznej dyspozycji. Nagranie jednej piosenki do kabaretu trwa około 6 godzin, w programie jest 6 piosenek, a my aktorzy mamy do dyspozycji średnio przez 3-4 godziny dziennie.

Aktorzy rano mają próby w teatrach, potem przy-

Narodziny kabaretu

jeżdżają do telewizji, wieczorem grają w przedstawieniach i na noc wracają na plan kabaretu. Podczas każdej realizacji co najmniej raz odbywają się zdjęcia nocne - studio jest wynajęte tylko na tydzień, a zgromadzić cały zespół w komplecie jest niezwykle trudno. Kierownictwo produkcji ma grafik, w którym odnotowane są zajęcia aktorów i o określonej porze wysyła po nich samochód (o ile wózek jest).

Wszyscy pracują z zegarkiem w rękę - Barbara Wrzesińska każda przerwę w próbie wykorzystuje na rozłożony na raty posiłek, Hanna Śleszyńska występuje w dwóch spódnicach, nie było czasu, więc kostium wciągnęła na własne ubranie, któregoś dnia Jan Tadeusz Stanisławski w stroju z kabaretu Olgi Lipińskiej pojechał na chwilę wystąpić „Pod Egidą” i znów wrócił do telewizji, przebrać się nie było kiedy. Jedno jest pewne - mimo wielu przeszkód, kabaret wciąż istnieje dzięki wytrwałości, uporowi i sile przebiecia autorki.

Według pierwotnych ustaleń próba miała zacząć się o 10 rano, ale z powodu wizyty O. Lipińskiej u lekarza (mało brakowało, a zapalenie oskrzeli uniemożliwiłoby dokończenie kabaretu) termin został przesunięty na godzinę 13. W południe w studio pojawił się tylko jeden z aktorów, resztę zabrała z siebie grupa ciekawskiej młodzieży zwiędzającej gmach telewizji. Kamerzyści i operatorzy dźwięku pokazują co jak działa, a nawet pozwalają pobawić się sprzętem. Wycieczka szybko przenosi się w inne miejsce i studio zalega mroźna cisza.

Dekoracje - jak w każdym kabarecie O. Lipińskiej - w zasadzie bez zmian - stół mikserski z monitorami, scenka, gabinet szefa, zastawka z Pałacem Kultury. Zbroja husarska, gipsowa figura, na pianinie butelka po koniaku i 2 kieliszki (pewnie Profesor znów będzie proponował „dzióbka”, wszędzie porozrzucane części garderoby. Pod ścianą parkuje deskorolka, obok stół, a na nim butelka z eterem. Przypięta do czerwonego tronu kartka ostrzega, że siadać na nim może wyłącznie reżyser. Tu i ówdzie kartki maszynopisu - dialogi Czesia i Siudyma, tekst piosenki do słów Gałczyńskiego).

Panowie z ekipy pomocniczej zdradzają drobne niedyskrecje z kabaretowej kuchni. Ich zdaniem „nasza pani” (takim mianem zespół określa Olę Lipińską) ma jedną wadę - jest osobą wybuchową i jak coś nie idzie po jej myśli, bardzo krzyczy, tak że aż kobiecie nie uchodzi „teraz źle się czuję, więc wczoraj ani razu nie podniosła głosu”. Podobno nie nigdy do końca nie wiadomo, pani Olga sama pisze scenariusze, całą wizję ma w głowie i potem na próbach na poczekaniu wprowadza poprawki. Chodzą też słuchy, że kabaret na zaproszenie środowisk polonijnych pojedzie na występy do USA.

Pierwsze pojawiają się w studiu panie z baletu, jeszcze „po cywilnemu”, chwilę ćwiczą krok i znikają. Po pewnym czasie przychodzi pan Czesio „mam grać?”. Majewski i Dorota Furman, dotychczas Grzegorz Wons. Wszyscy w zielonych ZMP-owskich mundurkach z czerwonymi krawatami. Pani Dorota demonstruje kolegom taneczne figury, przy wygibasach powstaje małe zamieszanie. Wkracza profesor (Jan T. Stanisławski), bawi zespół przedrzeźniając szefową. „To jest kapitalne” - Czesio entuzjastycznie ocenia jakieś choreograficzne rozwiązanie. Profe-

sor trzymając spodnie w garści bieży po pomoc - agrafta ratuje sytuację (podobno cała telewizja pracuje na agraftach). „Bo po co nam elita” - leci z playbacku. „Prawa noga, prawy bark!” - dyryguje choreograf. „Oj, mnie się w głowie zakręci” - narzeka Czesio. - „Może zostawmy to baletowi?”

Nadchodzi reszta ekipy. Tatiana Kwiatkowska (scenograf) ustala z asystentką szczegóły kostiumu dla Wojciecha Pokory. Ktoś pyta czy są wczorajsze taśmy i czy pan Janek ustawił światło. Czy są wszyscy aktorzy? Nie ma Hani (Śleszyńskiej) i Basi (Wrzesińskiej), zresztą zgodnie z planem. Wreszcie jest sama Olga Lipińska. Ogląda dekoracje, buziakiem wita się ze scenografem, prosi o herbatę i woła swoją sekretarkę: „napisałam tekst, chodź kotku, pokażę ci”.

Wciąż nie ma wszystkich, więc panie oglądają jakieś szorty - „do samochodu, na działkę w sam raz”. „Nasza pani” zagłębia się w maszynopis. Zaczyna pisać mikrofon, przyciska światło. „Uspokójcie się na liście boska! Co to za zabawa?” - denerwuje się reżyser. Podobno Wojtek (Pokora) już jest, a Basia będzie lada chwila. Szefowa grozi, że jak pani Basia nie będzie na próbie, nie dostanie pieniędzy.

- Pani Olga wymaga tego, co sama wkłada w ten kabaret: gotowości i myślenia - mówi redaktor programu Renata Bielecka. - Moment zgrania jest bardzo trudny, zwłaszcza piosenki zbiorowe wymagają wiele pracy. Reżyser rozkłada tekst na poszczególne linijki, robi różne ujęcia, żeby potem wybrać te najlepsze do montażu.

Ekipa realizująca program w zasadzie jest wciąż ta sama. Szefowa bardzo nie lubi zmian. Ma np. swoich stałych montażystów, którzy doskonale rozumieją jej styl, czują specyficzny humor i dzięki temu wszystko przebiega sprawnie.

O 14.30 wreszcie meldują się wszyscy. Wojciech Pokora niesie puszkę piwa, Dorota Furman z nudów bawi się kamerą, w ostatniej chwili wpada Barbara Wrzesińska w blond peruce. Choreograf przypomina krok, wszyscy stają na miejscach, rusza playback. Stop. Jeszcze raz. I jeszcze...

- Fatalnie! - krzyczy Olga Lipińska. - Rączki muszą chodzić równo. Będziemy robić do oporu. Przez godzinę nie możecie zapamiętać dwóch linijek? Proszę uczyć się tekstu!

Na miejsca. Playback. Potem na monitorze aktorzy oglądają nagraną scenę, korygując swoje błędy. Zle. Od nowa. Scenograf zauważa, że zamiast zielonego korzystniejszy byłby niebieski reflektor. Szefowa sprawdza, wprowadza małą poprawkę.

- Postrzęgam świat podobnie jak Olga - mówi Tatiana Kwiatkowska, scenograf - mam szeroko otwarte oczy. Zawsze dyskutujemy. Olga jest autorką programu i widzi wszystko całościowo. Jest otwarta na propozycje, ale kiedy upiera się przy swoim zdaniu, wie dlaczego. Odnoszę wrażenie, że nie mogłaby pracować z ludźmi, którzy nie myślą samodzielnie.

Praca przy kabarecie jest bardzo ciężka, ale dla scenografa fascynująca - często w jednej piosence aktorzy przebijają się po 8 razy. Pani Tania chodzi na wszystkie próby, słucha, obserwuje, by potem móc strojem wydobyc wszystkie ukryte sensy tekstów, stworzyć osobowość postaci. Panna Basienka kiedyś upodobała się do Małgorzaty Niezabitowskiej, teraz zmieniła image - na czasie są kobiety czyste i niewinne. Blondyna to typ teplej idiotki, ciemna - biurowa, szef - inteligent, Siudym - rasowy cwaniak. Małe państwo.

Zespół dalej świcy równy krok. W przerwie charakterystyki pudrują spocone nosy. Najmniej uwagi jest do Wojciecha Pokory, dobrze wywiązuje się z zadań, łagodzi napięcia, pomaga kierować aktorami. Pan Czesio tak się przykłada, że po energicznym przysiadzie pękają mu spodnie.

Czego wymaga od aktora praca w kabarecie Olgi Lipińskiej?

H. Śleszyńska: „...kondycji, cierpliwości - musimy zasuwać jak cholera.”

J. T. Stanisławski: „Trzeba mieć końskie zdrowie.”

Cz. Majewski: „Potrzebne jest opanowanie i duże poczucie humoru jeśli chodzi o uwagi pod własnym adresem. To praca bardzo nerwowa i wyczerpująca, ale sądząc po listach - warto.”

W. Pokora: „Jestem niecierpliwy, więc praca w telewizji bardzo mi odpowiada, lubię spontaniczność i krótki czas realizacji.”

Olga Lipińska nigdy nie pozwala ujawniać tekstów piosenek ani treści nowego kabaretu przed jego emisją. Przygotowując telewizyjne dokumenty, redaktor nigdy nie wypełnia rubryki o zawartości programu, jako zawłoka musi wystarczyć sam tytuł.

Mijają kolejne godziny. Aktorzy tańczą pod czujnym okiem pani Olgi. Przed nimi jeszcze cała noc pracy. Emisja 16 czerwca.

Monika Matuszak

WYDAWNICTWO WESTA - DRUK

PROWADZI USŁUGI POLIGRAFICZNE W ZAKRESIE

Łódź

● fotokładu

● fotografii

● montażu

ul. Piotrkowska 94

● chemigrafii

● drukowania

☎

technika offsetowa, typograficzna, sitodruk

32-61-79,

ZAPRASZAMY

Adresat: Skarb Państwa Niepodległej Rzeczypospolitej

Rachunki za straty i krzywdy

„Oskarżonemu, który w wyniku wznowienia postępowania lub rewizji nadzwyczajnej, zostanie uniewinniony(...) przysługuje od Skarbu Państwa odszkodowanie za poniesioną szkodę oraz zadośćuczynienie za doznaną krzywdę, wynikłe z wykonania względem tego oskarżonego w całości lub części kary, której nie powinien być ponieść”.

„Żądanie odszkodowania należy zgłosić w Sądzie Wojewódzkim, w którego okręgu wydano orzeczenie w pierwszej instancji” (...) Art. 487 § 1 i art. 488 § 1 kodeksu postępowania karnego.

Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego w Łodzi z 30 grudnia 1981 r. A.S. i J.K. zostali uznani winnymi tego że: 13 grudnia 1981 r. A.S. jako przewodniczący, a J.K. jako wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność”, działając wspólnie i w porozumieniu, r... zaniechali działalności związkowej zgodnie z przepisami dekretu o stanie wojennym lecz organizowali i osobiście przeprowadzili akcję protestacyjną w siedzibie Zarządu Regionu wzywając do powołania komitetów strajkowych.

Sąd Wojewódzki w Łodzi skazał ich na kary po 4 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności. Prokurator Generalny złożył rewizję na niekorzyść oskarżonych i Sąd Najwyższy wyrokiem z 18 lutego 1982 r. podwyższył wymiar kary do 6 lat.

Uniewinnienie

Sąd Najwyższy wyrokiem z 23 maja 1990 r. uniewinnił obydwu oskarżonych. Stało się to na skutek zaskarżenia rewizji nadzwyczajnej przez ministra sprawiedliwości wyroku skazującego na korzyść oskarżonych. W uzasadnieniu wyroku uniewinniającego stwierdzono: zachowanie się oskarżonych 13 grudnia 1981 r. nie było przestępstwem, a ich skazanie nastąpiło z obrazą prawa materialnego przez błędną interpretację art. 61 powołanego dekretu i jakoby nadał on moc wsteczną ustanowionym przepisom karnym.

* * *

Na podstawie art. 487 i 488 – cytowanych na wstępie niniejszej publikacji obaj uniewinnieni panowie skierowali do Sądu Wojewódzkiego w Łodzi (za pośrednictwem swych pełnomocników) wnioski o odszkodowanie. A.S. dochodzi od Skarbu Państwa odszkodowania w wysokości 402.032.000 zł. Suma ta obejmuje dwie zasadnicze pozycje: odszkodowanie za poniesione szkody oraz zadośćuczynienie za doznaną krzywdę. Uzasadnienie żądań rozłożone jest na poszczególne pozycje rachunkowe.

W chwili aresztowania miesięczne zarobki A.S. wynosiły około 18 tys. zł, co stanowiło dwuipółkrotną średnią krajową (około 7 tys. zł) w przeliczeniu na obecną średnią krajową (około 1.600.000 zł). Stanowi to ok. 4 mln zł miesięcznie. Z zarobków tych wnioskodawca

przeznaczał trzy czwarte – to jest 3 mln zł – na utrzymanie rodziny składającej się z żony i dwojga dzieci oraz na wydatki remontowe, inwestycyjne i na oszczędności. Szkoła w tej części obejmuje utratę co najmniej tych 3 mln zł miesięcznie, których rodzina została pozbawiona na skutek skazania wnioskodawcy. Przebywał on w aresztach i zakładach karnych przez okres ponad 31 miesięcy, a więc odszkodowanie w tej materii stanowi 93 mln zł.

W tym rozdziale zostały podsumowane także wydatki związane z pomocą rzeczową rodziny i przyjaciół (paczki dostarczane do więzienia, koszty przejazdów itp.) oraz straty poniesione w okresie 3 lat i 6 miesięcy, kiedy odmawiano mu pracy w różnych instytucjach. Cała kwota stanowi 202.032.000 zł poniesionych szkód.

Zadośćuczynienie

W następstwie wyroku skazującego A.S. przebywał w zakładach karnych w Łodzi, Warszawie, Potulicach i Barczewie. W czasie odbywania kary podlegał dodatkowym szykanom. I tak: w okresie półtorarocznego pobytu w zakładzie karnym w Warszawie przy ul. Rakowieckiej, pozbawiony był prasy, książek i radia. W Barczewie, niezależnie od fatalnych warunków bytowych, został dwukrotnie pobity oraz stosowano wobec niego przymus fizyczny – połączony ze szczególnym udręceniem – w czasie przymusowego dokarmiania – kiedy podjął głodówkę protestacyjną.

Po powrocie na wolność przez trzy i pół roku nie mógł uzyskać pracy, gdyż odmawiano mu zatrudnienia ze względu na skazanie. Poza tym A.S. był pomawiany i znieważniany przez środki masowej komunikacji, a jego rodzina doznała licznych przykrości. A.S. wnosi o zadośćuczynienie w wysokości 200 mln zł.

Drugi wnioskodawca...

... przebywa aktualnie z żoną w Stanach Zjednoczonych i w związku z tym nie może dostarczyć dokumentów, stanowiących podstawę wyliczenia i sprecyzowania swoich roszczeń, które określa kwotą 400 milionów złotych. Jego pełnomocnik stwierdza, że według posiadanych przez niego informacji J.K. wraca do kraju w połowie lipca br. Wnioskodawca był pozbawiony wolności od 13 grudnia 1981 r. do 24 lipca 1984 r. Przebywał kolejno w zakładzie karnym w Łęczycy, areszcie KW MO w Łodzi, areszcie śledczym w Warszawie, zakładzie karnym w Lublinie, Hrubieszowie i Barczewie.

Ponieważ zachodzi potrzeba przesłuchania wnioskodawcy przez sąd pełnomocnik prosi o nie wyznaczanie terminu posiedzenia do czasu uzyskania dokładnej informacji o dacie powrotu J.K. z zagranicy. Prośba została uwzględniona i postępowanie sądowe rozpocznie się najwcześniej w drugiej połowie lipca.

Zofia Tarnowska

Informację, że dwaj działacze Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej wystąpili do sądu z wnioskami o wysokie odszkodowanie za pozbawienie wolności w stanie wojennym „Express Ilustrowany” opublikował 24 maja.

Następnego dnia, w sobotę, do „Radiatora” dzwonił słuchacz wyrażając w tej sprawie swoje opinie. Nie słuchałam tej audycji. Dowiedziałam się później, że podobno były 4 telefony, podobno dość krytyczne. Piszę podobno, gdyż nie udało mi się zapoznać z nagraniem tych rozmów. Nowy szef Łódzkiej Rozgłośni PR, ANDRZEJ BERUT grzeździe, ale stanowczo odmówił mojej prośbie.

27 maja „Gazeta Łódzka” w szerszej informacji potwierdziła tę wiadomość i cytowała pełne brzmienie artykułu 487 Kodeksu Postępowania Karnego.

„Gazeta Łódzka” poinformowała też, że obaj pełnomocnicy, występujących z roszczeniami o odszkodowanie dla działaczy „Solidarności” są dobrej myśli. Uważają, że sprawy są do wygrania, nie wypowiadają się natomiast co do wysokości odszkodowania. O tym zadecyduje sąd.

Do redakcji „Gazety Łódzkiej” zadzwoniło bli-

moralnie i fizycznie. Kiedy byli osadzeni w więzieniu, przesłuchujący ich prokurator powiedział, że w 99 procentach grozi im kara śmierci, że sąd to prawdopodobnie orzeknie i kara ta zostanie szybko wykonana. Ta miała być szokowa terapia dla społeczeństwa w stanie wojennym. Tak się wprawdzie nie stało, ale pierwotny wyrok im podwyższono i karę odbywali w zastrzyżonym rygorze. Byli bici i dręczeni przez służbę więzienną, nie przestrzegano wobec nich regulaminu więziennego. Kiedy już byli aresztowani urządzono przeciw nim nagonkę w prasie, radiu i telewizji. Po wyjściu z więzienia nie mogli znaleźć pracy. Odszkodowanie zgodnie z Kodeksem Postępowania Karnego należy się bezapelacyjnie, a o jego wysokości zadecyduje sąd. Natomiast wszelkie doszukiwanie się w tym sensacji uważam za obrzydliwe.

JAROSŁAW SZYMAŃSKI, przewodniczący Ruchu Narodowo-Liberalnego: – Należy tę sprawę rozpatrywać w dwu aspektach: prawnym i politycznym. Przepisy prawa, a więc artykuł 487 Kodeksu Postępowania Karnego daje występującym z roszczeniami bezdyskusyjną podstawę żądania odszkodowań. Natomiast duże wrażenie może wywołać ich

Odcinanie kuponów....?

sko 10 osób, padały stwierdzenia, że ludziom o takich życiorysach politycznych nie godzi się żądać odszkodowania za walkę z komunistycznym reżimem. Zdaniem odbierających telefony zainteresowanie tą sprawą nie było duże. Zdarza się bowiem, że po artykule opublikowanym w „Gazecie Łódzkiej” odzywa się i 30 czytelników, którzy telefonują do redakcji z różnymi uwagami i opiniami.

A oto opinie, jakie udało się nam uzyskać. ANDRZEJ MAKOWSKI, wiceprzewodniczący KZ NSZZ „Solidarność” w ŁZPG „Fagum – Stomil”: – Nie dyskutowaliśmy w komisji o tym. Mogę więc tylko wypowiedzieć się w swoim imieniu. Uważam, że żądanie odszkodowania jest słuszne. Ale sprawa będzie miała szerszy oddźwięk, bo postrzodowanych w stanie wojennym było więcej.

APOLINARI PRZYBYŁOWSKI, przewodniczący KZ NSZZ „S” w Łódzkich Zakładach Praso-nych: – Nie mogę zaprzeczyć, komentarze są, ale powstrzymam się od ich przytaczania. Koledzy na ogół pytają, od kogo właściwie obaj panowie żądają tych pieniędzy i kto za to tak naprawdę zapłaci?

MARIAN STRZELECKI, prawnik, dziennikarz „Rzeczypospolitej”: – Przeglądałem uważnie akta spraw karnych, do których są podłączone wnioski o odszkodowanie. To są niepodważalne dokumenty, które dowodzą, że ci ludzie cierpieli

wysokość, ponieważ w praktyce sądów powszechnych dotychczas nie występowało o tak wysokie kwoty w tego typu sprawach. I tu dochodzimy do aspektu politycznego. W odbiorze opinii publicznej obaj działacze uchodzili za ludzi ideowych, walczących o dobro sprawy. Występowanie o tak wysokie odszkodowanie może nabrać, niezamierzonej przez nich, niezręcznej politycznej wymowy. Może to być przecież odczytane jako podwójna konsumpcja zwycięstwa. Ci ludzie należą dziś do establishmentu politycznego, bo takie są konsekwencje wygranej walki. Mam jednak wątpliwości, czy żądanie tak wysokiego odszkodowania nie będzie odczytane jako odcinanie kuponów od swojego życiorysu. Tego bym się obawiał. Trzeba pamiętać, że w kraju nastąpiły przeobrażenia polityczno-ustrojowe. Roszczenie nie jest skierowane przeciwko skarbowi komunistycznego państwa, które ich represjonowało jako przedstawicieli opozycji, ale przeciwko państwu, o które oni walczyli i które obecnie boryka się z olbrzymimi trudnościami budżetowymi. A przecież dochodzone odszkodowania zostaną wypłacone z kieszeni podatników, nas wszystkich. Takie działania mogą zaważyć na ich popularności w społeczeństwie.

Zanotowała: Bogda Madej



Chodzę z dwoma chłopcami, obaj mi się podobają, ale nie wiem, za którego wyjść za mąż?

Wróżka prawdę ci powie

– Proszę podać lewą dłoń.
Długo przygląda się mojej ręce, po czym mówi:
– Abyś uwierzyła, że na twojej dłoni zapisana jest cała przeszłość i przyszłość, powiem ci wprost co jest już za tobą: Kochałaś, ale on okazał się draniem. Rzuć cię dla innej. Widzę chorobę... było źle z tobą, byłaś bliska śmierci, ale już jest dobrze. To wszystko za tobą. Teraz obok ciebie stoi jakiś mężczyzna. On nosi mundur. Kochasz go i on cię kocha...

Pani Janina Buczek-Szymańska jest pierwszą i jedy- ną zarejestrowaną w Łodzi wróżką. Ma własny salon wróżb przy ul. Kilińskiego 121.

– Wróżenie to ogromna sztuka – mówi. – Przede wszystkim polega ono na monologu, w którym przynajmniej część z tego co się mówi musi pasować do klienta. Ja, zanim zostałam wróżką bardzo wiele się uczyłam. Dzięki rodzicom opanowałam zasady medycyny i ziołolecznictwa, później pobierałam nauki wróżenia u słynnej, nie żyjącej już wróżki pani Janiny Chrzanowskiej. Oróż tego odwiedzałam jeszcze mnóstwo innych wróżek i wróżbitów, podpatrywałam ich. Czasem zdarzało się, że trafiałam na oszustów. No cóż, w końcu wróżenie to usługa bez gwarancji, za to płać.

Salon wróżb pani Janiny to niewielkie pomieszczenie.

Poczekalnia oddzielona jest od „pracowni” wróżki pod- wójnymi firankami i szafą. W poczekalni gra głośno ra- dio. Klientek nie brakuje, choć usługi do tanich nie nale- żą (najpopularniejsza wróżba tarotowa kosztuje 50.000 zł).

Młoda, bardzo ładna dziewczyna tak opisuje powód, dla którego zdecydowała się odwiedzić wróżkę:

– Chodzę z dwoma chłopcami. Obaj mi się podoba- ją, obaj mają pieniądze i jak mi się zdaje – dobre charak- tery. Nie wiem, za którego wyjść za mąż. Liczę, że wró- żka mi pomoże.

Trzydziestokilkuletnia kobieta ma również problemy sercowe:

– Jestem rozwódka. Pierwszy mąż był pijakiem. Te- raz mam narzeczonego. Wydaje się być dobry, ale też lubi od czasu do czasu zajrzeć do kieliszka. Nie chcę znów popełnić błędu.

Pani w średnim wieku nie umie odpowiedzieć na pyta- nie dlaczego korzysta z usług wróżki:

– Może gdy będę wiedzieć co mnie czeka, uda mi się jakoś łatwiej przebrnąć przez ciężkie chwile?

19-letnia dziewczyna odpowiada krótko:

– Po prostu jestem CIEKAWA. Mam przed sobą całe życie i chcę JUŻ, TERAZ wiedzieć co mnie w nim czeka.

Według pani Janiny posługiwanie się kartami wcale nie jest proste.

– Każda nowa talia kart jest jak nauka nowego ję- zyka. Trzeba nie tylko umieć wróżyć, trzeba każdą ta- lię rozpracować od początku – mówi.

Wróżenie dla pani Janiny to połączenie umiejętno- ci wróżbiarskich z filozofią życia. Tak opowiada o przyczynach, dla których zajęła się wróżbiarstwem:

– Byłam w straszliwym „dolku”. Nic mi się nie uda- wało. Miałam wrażenie, że wszystko czego się dotknę wali mi się na głowę. Pomyślałam, że to kwestia prze- znaczenia i chciałam wiedzieć, kiedy to się wreszcie skończy. Teraz, gdy umiem wróżyć patrzę na wszystko inaczej. Dziś wiem, że SIŁA LUDZI LEŻY W ICH MYŚLI! Myśl to potęgą prowadząca do czynu. Każdy człowiek jest w stanie pokonać każdą przeciwność losu, trzeba tylko wyzwoić w nim siłę jaką w nim drze- mie, a z której nie zawsze zdaje sobie sprawę.

Czyżby więc przeznaczenie zależało od nas samych? 80-letnia stała klientka wróżek i astrologów mówi: – W moim życiu spełniło się wszystko, co mi przepo- wiadali, choć, gdy teraz spojrzę w przeszłość mam wra- żenie, że ja sama nieświadomie pomagałam losowi...

Magdalena Grochowalska

Pani L.H. mieszka w Śródmieściu w jednym ze starych odrapanych domów. Wejście od pod- wórzka, obskurna klatka schodowa, pomalo- wane na zielono drzwi. Żadnej wywieszki – nie co by wskazywało na to, że tu mieszka wróżka.

– Czy to napewno tutaj? – pytam niepewnie.
– Tutaj – odpowiada moja znajoma i dzwoni trzy razy – to umówiony sygnał.

Po chwili w drzwiach pojawia się gruba, farbowana blondyna.

– Prowadzę ci klientkę – mówi moja znajoma.

Blondyna wprowadza nas do przedpokoju, a sama znikła za drzwiami. Właśnie ma klientkę. Moja znajoma patrzy na zegarek, żegna się i zostawia mnie samą. Roz- glądam się. Wnętrze nic nie przypomina tradycyjnego salonu wróżb. Odrapane ściany i sufit, stare graty, bala- gan. Po chwili dołącza do mnie około 40-letnia kobieta.

– Pani pierwszy raz? – pyta.
– Tak.

– Ja jestem stałą klientką.

Nie prozona zaczyna mi odpowiadać historię swo- jego życia. Na zakończenie zachęca, bym zrobiła to samo. Nie mam ochoty na zwierzenia, ale ona nalega.

– Tknęta przecuciem opowiadał zmyśloną histo- rię: „Miałam narzeczonego, bardzo go kochałam, ale on rzucił mnie dla innej dziewczyny. Trulałam się z roz- paczy, ledwo mnie odratowali. Teraz zakochałam się w zawodowym wojskowym. Boję się znów cierpieć, więc przyszedłam po poradę do wróżki.”

W całej tej opowieści nie ma ani cienia prawdy.

Tymczasem drzwi się otwierają. Wróżka żegna się wylewnie ze swoją klientką i prosi mnie do pokoju. Sama jednak nie wchodzi.

– Zaraz wrócę, proszę się rozgościć.

Po chwili wraca.

W lochach Bastylli i w zamku Silling

Był rok 1788, gdy Markiz de Sade, spędzając za murami Bastylli jedenasty rok internowania, poświęcony, jak wiele lat poprzednich i wiele następnych, pracy pisarskiej, jednemu ze swych powieściowych bohaterów kazał wygłosić takie oto słowa: „O Sainville'u! w twej ojczyźnie szykuje się wielka rewolucja; zbrodnie tyranów, ich okrutne dzierstwo, rozpusta i nieudolność zniechęciły Francję wycieńczoną z powodu despotyzmu, lada dzień rzuci te kajdany”. Alina i Valcour, czyli Powieść filozoficzna – z niej to bowiem zaczerpnięte słowa – opatrzoną została podtytułem: *Napisana w Bastylli na rok przed Rewolucją Francuską*.

Czyżby Sade przewidział wybuch rewolucji. Być może nie trudno było o to w buntującym się Paryżu, być może zbieżność ta to zwykły zbieg okoliczności, być może wreszcie „prorocze”, słowa Markiz dopisał później, bo choć prace nad powieścią zakończył w latach 1788–89, to jednak jeszcze w 94 wprowadzał do niej poprawki. Niemniej losy Sade'a, jego dzieł i jego „filozofii w kajdanach” na trwałe związane zostały z rewolucją... i z Bastyllą.

Zapewne jednak nie z powodu przewidywania rewolucji, lecz w obawie przed nagłym przeniesieniem bądź rewizją włożył Sade wiele trudu w zabezpieczenie najdroższego dzieła ze swych dzieł, rozstawione jeszcze filmową interpretacją Passoliniego – *120 dni Sodomy*, czyli *Szkoly libertynizmu*.

Zanim 28 listopada 1785 roku, po trzydziestu siedmiu wieczorach pracy w celi królewskiego więzienia, rękopis *Sodomy* był gotowy, Sade, świadom niebezpieczeństwa zarekwirowania, na jakie narażone były podobne dzieła, a zarazem znaczenia i niezwykłości swego dokonania, nie czekając na ukończenie oryginału, przystąpił do sporządzania jego kopii. Rulon cienkiego papieru długości 12 m 10 cm, sklejony z kartek 12 cm x 11 cm, po obu stronach pokryty drobnym pismem, łatwo dawał się ukryć w kieszeni surduta lub w rękawie.

Pamiętny dla Francuzów rok 1789 zastał Sade'a za murami Bastylli. „Czwartego lipca (Markiz się pomylił, był to trzeci lipca – przyp. B.B.) – pisał Sade do notariusza Gaufridy – z okazji drobnej awantury, jaką wywołałem w Bastylli z powodu doznanych tam przykrości, komendant skarżył się ministrowi. Rozpalałem, jak mówiono, umysły ludu, zachęcałem do zburzenia tego pomnika okropności... To wszystko prawda...”. „Zasiegnijcie informacji – wyjaśniał w innym skierowanym do władz rewolucyjnych – a dowiecie się (...), że moje nagłe przeniesienie jako człowieka niebezpiecznego podyktowane zostało tworzącymi się z mego powodu pod oknami Bastylli zbiegówkami, których buntownicze ruchy doprowadzić mogły do obalenia tego pomnika okropności”. „...byłem w Bastylli jeszcze 3 lipca 1789 roku. Przeciągałem garnizon na stronę ludu; odsłaniałem mieszkańcom Paryża okropności, jakie gotowano im w zamku. Launay uważał mnie za niebezpiecznego; posiadam list, w którym prosi on usilnie ministra Villeteuil o wydalenie mnie z fortecy, której zdradę chciałem uniemożliwić za wszelką cenę”.

W ówczesnym Paryżu narastało niezadowolenie i nastroje rewolucyjne. Nic więc dziwnego, że gdy Markiz, uzbrojony w rękę w kształcie tuby, służącą do spuszczenia brudnej wody, krzychał przez okno swej celi: „Mordują więźniów!”, pod murami więzienia zaczęły gromadzić się tłumy. Dziesięć dni później twierdza padła i znalazła się w rękach ludu, ale ucieleśniona w zburzeniu Bastylli, symbolu królewskiego despotyzmu, Wolność Sade'owi wyzwolenia nie przyniosła. Więzienie opuścił dopiero 2 kwietnia 1790 roku dzięki amnestii obejmującej wszystkich, którzy wolności pozbawieni zostali na mocy królewskich *lettres de cachet*. Powołanie się przez Markiza w listach do rewolucyjnych władz na ów wieczny epizod nawet o dzień nie przyspieszyło jego uwolnienia. Z całą natomiast pewnością właśnie swemu temperamentowi zawdzięczał Sade, jak na ironię, przedłużenia czasu internowania i... utratę rękopisów. Ówczesny komendant Bastylli, de Launay, zaniepokojony zachowaniem więźnia, zdołał wyjednać u ministra de Villeteuil zgodę na jego natychmiastowe przeniesienie, i 4 lipca, godzinę po północy, sześciu uzbrojonych policjantów pod dowództwem inspektora Quidora i komisarza Chenona wywieźli Markiza z łóżka i, nie pozwalając mu zabrać nawet rzeczy osobistych, wepchnęli do policyjnej karety. Sade miał przed sobą dziewięćmiesięczny rekonesans – bo spędził tam 13 ostatnich lat życia – w Charenton-Saint-Maurice, na polu szpitalu dla obłąkanych, na polu miejscu internowania dla politycznie niewygodnych.

Ku rozpaczy Markiza pani de Sade nie spieszyła się z odebraniem z więzienia jego rzeczy. Mniejsza zresztą o liczącą około 600 tomów bibliotekę, meble, ubrania i kolekcję portretów, ale rękopisy... „Rękopisy – pisał Sade do notariusza Gaufridy – nad utratą których ronię krwawą łzami... Wybacz, że nie pozwalam się na tę okoliczność; rozdziera mi ona serce w sposób tak okrutny, iż najlepsze co mogę uczynić, to starać się zapomnieć owo niebezpieczeństwo i nikomu już o nim nie wspominać”.

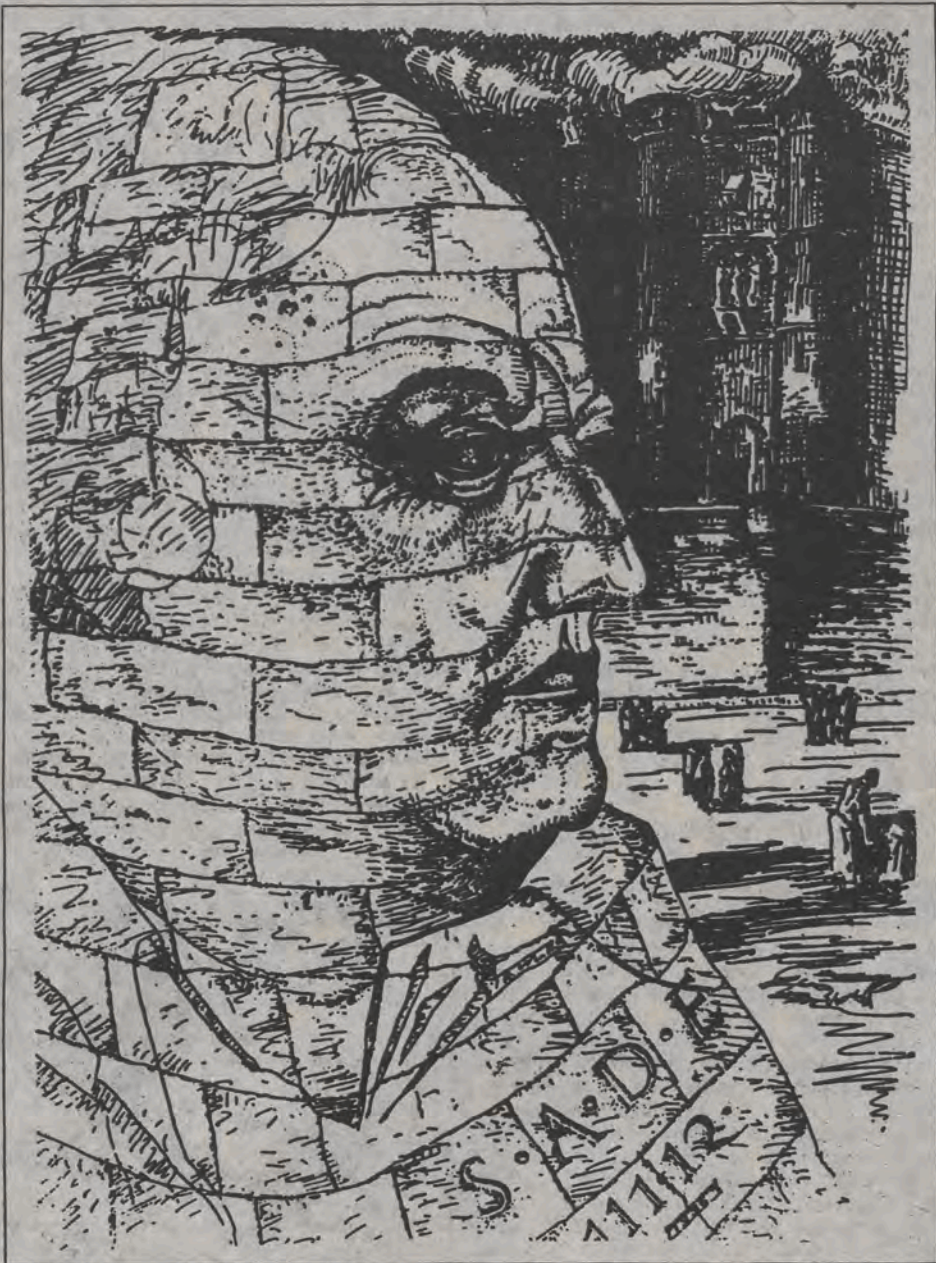
Po dwunastu latach spędzonych za murami Vincennes i Bastylli Sade był w posiadaniu 15 tomów gotowych do druku. Część przekazał potajemnie żonie, która odmówiła ich zwrotu, część padła łupem pładujących więzienne cele tłumów, część wydana została na pastwę ognia (policyjne raporty wliczają tytuły kilku tekstów, które urzędowo zostały spalone, m.in. *Dni we Florbelle*, czyli *Natura zdemaskowana*, prawdopodobnie najobszerniejsze, obejmujące około 108 zeszytów, dzieło pisarza, po którym do naszych dni zachowało się tylko kilkanaście stron notatek), Markizowi udało się odnaleźć zaledwie część utraconych rękopisów, w tym także drugą wersję opowieści o Justynie, *Justyna*, czyli *Nieszczęścia cnoty* (napisaną w roku 1788), jednak dzieło, w którego zabezpieczenie włożył tyle wysiłku, *120 dni Sodomy*, znać musiał, wobec bezowocności poszukiwań, za utracone bezpowrotnie. Wszystko, co napisał od momentu opuszczenia zakładu Charenton – w tym trzecia wersja przygód Justyny, *Nowa Justyna*, oraz jej siostry, *Historia Julietty*, a także *Filozofia w buduarze* – miało poweto-

tować strać. Nie będąc w stanie odtworzyć zaginionego rękopisu, uparcie podejmował i rozwijał zarysowane w nim wątki. 2 grudnia 1814 roku Sade umierał w przeświadczeniu, iż Sodoma nie istnieje.

Los, choć tak okrutnie obszedł się z Markizem, okazał się jednak znacznie łaskawszy dla potomności. Rulon ocalał. Odnalazł go Arnoux de Saint-Maximin i to właśnie w celi, którą zajmował Sade. Później rękopis znalazł się w posiadaniu rodziny de Villeneuve-Trans, która przechowywała go przez trzy pokolenia. Dopiero jednak nasze stulecie przyniosło publikację

je się do posiadłości tego ostatniego, gdzie ma zamiar oddać się niesłychanym orgiom seksualnym. Towarzyszą im 42 osoby; młode i piękne żony: Konstancja, córka Durceta i zarazem żona de Blangisa, Adelajda, córka Curvala i żona Durceta, Julia, córka księcia z pierwszego małżeństwa i żona Curvala, oraz Alina, córka z nieprawego łoża biskupa i drugiej żony de Blangisa; seraj złożony z ośmiu najwspanialszej urody dziewcząt w wieku od 12 do 15 lat, wybranych w drodze żmudnych badań i oględzin spośród 130 panien z dobrych domów, porwanych rodzicom lub opiekunom, tyluż uroczych chłopców w podobnym wieku

120 dni Sodomy



Markiza de Sade

120 dni Sodomy. Na przełomie XIX i XX w. rękopis zakupiony został na aukcji przez pewnego niemieckiego bibliofila i wywieziony do Berlina, a znany psychiatra i seksuolog, Ivan Bloch (pod pseudonimem Eugen Dühren), doprowadził w roku 1904 do jego wydania w znikomej ilości 180 egzemplarzy. Książka zawierała jednak taką ilość błędów i nieścisłości, iż niewiele miała wspólnego z oryginałem.

Kolejną redakcję *Sodomy* zawdzięczamy najbardziej skrupulatnemu spośród badaczy Sade'a, Maurice'owi Heinemu, który w styczniu 1929 roku, upoważniony przez paryskiego miłośnika i mecenasa literatury, wicehrabiego Charlesa de..., odkupił rękopis i, po ponownym odczytaniu i poprawieniu, opublikował w latach 1931–35. To trzatomowe wydanie, przeznaczone dla wąskiego kręgu odbiorców – także i tym razem nakład był niewielki, 396 egzemplarzy – uznawane dziś powszechnie za wersję oryginalną (Heine odtworzył ortografię i błędy manuskryptu usunięte w kolejnych wydaniach w latach 1947 i 53), dało początek szerszemu zainteresowaniu pisarstwem „boskiego Markiza”. Sade, admiralowany już przez Apollinaire'a i surrealistów, dzięki upartej pracy wydawcy i biografa, J.-J. Pauverta, historyka, G. Laly'ego oraz myślicieli i pisarzy tej miary co G. Bataille, P. Klossowski, M. Blanchot, a potem M. Foucault, G. Deleuze, Ph. Sollers czy R. Barthes, na stałe odzyskał należne mu miejsce w dziedzictwie kulturowym, a wraz z Nietzschem uznany został za patrona współczesnej humanistyki.

Akcja *Sodomy* rozgrywa się w początkach siedemnastego stulecia, u schyłku panowania Ludwika XIV. Czterech libertynów w wieku od 45 do 60 lat, posiadaczy ogromnych fortun, które zawdzięczają zbrodni i sprzeniewierzeniu, książę de Blangis, jego brat, biskup de..., prezydent de Curval i bankier Durcet, uda-

wyselekcjonowanych spośród 150 uprowadzonych młodzieńców; ośmiu rajfurów sodomitów, których wybór podyktowany został monstrualnymi rozmiarami ich członków; czterech straszliwie brzydkich służących; sześć znakomitych kucharek oraz cztery sławne prostytutki: Duclos, Champville, Martaine i Desgranges. Cafe towarzyszyło przybywa do zamku Silling, ukrytego w Czarnym Lesie, za niedostępnymi górami, poza granicą Francji. Wysokie mury otaczające zamek, zasypane drogi, zawarte bramy, krążący wokół przekupienia zbroje oraz głęboki śnieg czynią z twierdzy miejsce całkiem odcięte od świata, czystą utopię. A niezwykła przedmowa księcia do zgromadzonych kobiet, padające w niej słowa, „dla świata jesteście martwe” – nigdy przemoc nie mówiła w sposób tak otwarty – nie pozostawiają żadnych złudzeń co do losu, jaki czeka wszystkie ofiary.

Na kształt *120 dni Sodomy*, zdradzający wyraźne inspirowanie *Dekameronem* Boccaccia i *Heptameronem* Maigoraty z Navarry, składa się obszerne Wprowadzenie oraz cztery części mające postać dziennika obejmującego 120 dni pobytu kompanii w upiornym zamku. Każdy miesiąc oddany jest do dyspozycji jednej z prostytutek-narratorek, której zadaniem jest opowiedzenie 150 interesujących historii z własnego życia, co daje razem 600 „rozmaitych dań”, które „zaspokajają błąd apetyt” czytelnika i czterech libertynów, którzy – gdy jakiś epizod szczególnie przypadnie im do gustu – natychmiast oddają się jego realizacji.

Opisane perwersje sklasyfikowane zostają w czterech grupach na zasadzie kombinacyjnej, gdyż ze skończonego materiału wyściowego (jako że wszelkie „moralne” zachowania o charakterze erotycznym są u Sade'a stanowczo wykluczone) wprowadzona jest niemal nieskończona liczba możliwych rozwiązań – co świadczy o niemałym wysiłku systematyzacji: „namie-

ności proste, czyli pierwszej klasy” przyznają pierwszeństwo sodomii aktywnej i pasywnej, heteroseksualizmowi, kaprofilii, pedofilii, element sadyzmu ma zaś tutaj zaledwie zarysowany wymiar psychiczny; „namietności podwójne, czyli drugiej klasy” są kombinacjami poprzednich, a wzmożnione zostają elementami sado-masochizmu, kazirodztwa i bluźnierstwa; „namietności trzeciej klasy, czyli zbrodnicze” obejmują sodomie homoseksualną, świętokradztwo i wszelkie akty, które stanowią „obrazę dla prawa, natury i religii”; „namietności mordercze, czyli czwartej klasy” kończą się z reguły śmiercią ofiar torturowanych podczas wymyślnych praktyk seksualnych. Ostatecznie w ciągu trzech pierwszych miesięcy śmierć ponosi 10 osób, 20 innych ginie z rąk libertynów w lutym. Spośród 46 członków wyprawy przy życiu pozostaje tylko 16, co Sade skrupulatnie wylicza na ostatnich stronach książki.

Zainteresowania Sade'a problematyką libertynizmu nie były niczym osobliwym w XVIII-wiecznej Francji, na wskroś libertynskiej, tak w sferze pisarstwa, jak i obyczajów. Skłonność do myślenia w sposób niezależny ujawnił markiz już w latach młodzieńczych, gdy opuścił mury jezuickiego kolegium, by oddać się bardziej swobodnemu życiu, jakim sam się oddawał – wykorzystywał rozmaite praktyki pobudzające, posuwał się do eksperymentów psychoseksualnych, z zainteresowaniem śledził reakcje własne oraz towarzyszących mu kobiet, czynił notatki. „Tak, przyznaję – pisał w liście do żony – jestem libertynem. Wiem wszystko, co tylko w tej dziedzinie wiedzieć można, ale nigdy nie czyniłem tego wszystkiego i z całą pewnością nigdy tym nie czyniłem. Jestem libertynem, ale nie jestem przestępcą ani zbrodniarzem”. Markiz ze swych poglądów i przekonań uczynił treść własnego życia i – w całym tego słowa znaczeniu – filozofię. I tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu o ich trafności, im cięższe spadały nań z ich powodu represje.

Trudno rozstrzygnąć ponad wszelką wątpliwość, czy Markiz ukończył *120 dni Sodomy*. Wersja, która zachowała się do naszych czasów, nie posiada takiego kształtu. Postać literacko zamknięta ma jedynie Wprowadzenie oraz Część pierwszą, trzy pozostałe to mniej lub bardziej szczegółowy plan opatrzone uwagami i adnotacjami. Ale już te ukończone fragmenty ujawniają najwyższe walory pisarstwa Sade'a, rozciągają po nury blask znakomitych, nie spotykanych w literaturze portretów głównych bohaterów – portretów, zwłaszcza księcia de Blangis, dowodzą niezwykłej wprawy pisarskiej, z jaką więzień Bastylli inscenizuje akcję rozgrywającą się w zamkniętej przestrzeni, skrzępie wyszukany dowcipem i czarnym humorem, wyczuwaniem indywidualności stylu postaci, dosadnością i celnością sformułowań. Ale książka prezentuje też inne pisarstwo, inny styl – suchy, zdawkowy, niemal reporterski, bliski niekiedy walorom korespondencji Markiza, to znów sprawiając wrażenie zapisu przeniesionego z taśmy magnetofonowej, pozbawiony barwności tyrad i argumentacji filozoficznej, które – jak gdyby potworna rzeczywistość przemocy przekraczała opisowe i analityczne możliwości języka – dotyczą niemal wyłącznie perwersji i zbrodni, powodu spotkania czterech libertynów.

Obok walorów literackich współczesność dawno już dostrzegła w *Sodomie* i innych dziełach Sade'a prekursorski wkład w zyskiwanie przez człowieka samowiedomości: klasyfikację perwersji seksualnych – na długo przed Krafft-Ebingiem i H. Ellisem; eksplorację ciemnych sfer ludzkiej psychiki – na długo przed Freudem i Jungiem; odkrycie związków zakazu i transgresji (szczególnie – mowy Durcet – polega na „pożądaniu, na pokonywaniu stawianych mu przeszkód”), erotyzmu i przemocy, miłości i śmierci – na długo przed historykami religii i G. Bataille'em; opis zachowań ludzkich uznanych za niemożliwe i barbarzyńskie – na długo przed antropologią kulturową; wskazanie pożądania jako podbici ludzkich działań – na długo przed Heglem; wydobycie nierozłączności pożądania z niezaspokojeniem i nienasyceciem – na długo przed Witiwiczem.

„A teraz, drogi czytelniku, winienesz przygotować swe serce i umysł na najbardziej nieczystą opowieść, jaka powstała od początku świata. Podobnej książki nie spotkasz ani u starożytnych, ani u nowożytnych” – pisał Sade w początkowych partiach *Sodomy* i miał całkowitą rację. Nadzieje znalezienia w *Sodomie* poetyckich opisów scen erotycznych, choćby nawet mocnych i pikantnych, jest jawnym nieporozumieniem. Bardziej niż o podniecenie dzieło to przypisać może o młodości, niewiele ma bowiem wspólnego z tzw. pornografią, bliższe jest raczej, co wielokrotnie podkreślano, rzeczywistości okrucieństw wojny i obozów koncentracyjnych, katów i oprawców. I niewątpliwie właśnie temu książka ta zawdzięcza swą złą, wręcz skandaliczną sławę – historia ludzkiej myśli nie zna dzieła równie przerażającego i odpychającego. Ale „pornograficzny” wymiar dzieła, sfera zbrodni seksualnej, stanowi tylko zewnętrzną tkaninę, przy pomocy której Sade komunikuje to, co dlań istotne: warstwa obscenu i ekscesu skrywa głębię filozoficznej myśli, której konsekwencja i bezkompromisowość równa jest konsekwencji myśli Nietzschego, Bataille'a, Klossowskiego. Będąc kompendium wiedzy, jaką Markiz posiadał na temat wszelkich odmian libertynizmu, stanowi *Sodoma* zarazem zwięzłą prezentację – choć raczej w postaci metaforycznej ilustracji niż dyskursywnego wykładu – teorii metafizycznych, które Sade rozwinięte we wszystkich późniejszych dziełach.

120 dni Sodomy, jedyna w swoim rodzaju opowieść o kondycji ludzkiej, niczym krzywe lustro, w którym człowiek ogląda własne oblicze, realizacja obsesyjnej idei Markiza, by powiedzieć wszystko – „Jakkolwiek ludzie by się tego obawiali, filozofia powinna powiedzieć wszystko” – jasnie tak mrocznym blaskiem, jakim płonąć może jedynie geniusz wydany bezgranicznej samotności i cierpieniu.

Bogdan Banasiak

Prezes (nieoficjalnie) Towarzystwa im. Markiza de Sade

Mama była maszynistką, dla niej zaśpiewałem „Sekretarkę”, od której wszystko się zaczęło...

JACEK WÓJCICKI, absolwent PWST w Krakowie (dyplom w 1982 roku), był aktorem teatralnym (przez 6 lat na etacie Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie), jest aktorem filmowym (największą popularność przyniosła mu dramatyczna rola w filmie „Ostatni dzwonek”), ale przede wszystkim jest piosenkarzem estradowym (jego recital był rewelacją tegorocznego Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu).

W Łodzi bawił na 5 recitalach, ale ponieważ Sala Lustrzana Muzeum Historii Miasta nie mogła pomieścić wszystkich zainteresowanych, przyjeździe tu ponownie, aby 8 i 9 czerwca dać kolejne recitale w Łódzkim Teatrze Muzycznym.

Profesjonalną promocją oryginalnego i wybitnie utalentowanego artysty chce zająć się „Węsta – Druk”, rozmowy trwają...

– Czy piosenkarstwo i występy estradowe będą teraz stanowiły trzon pana pracy artystycznej?

– Nareszcie mogę robić to, co zawsze chciałem robić i dla piosenkarstwa zrezygnowałem z pracy w teatrze. Dzięki temu mogę być wolny, niezależny i niczym nie skrepowany. Od dwóch lat jestem na urlopie bezpłatnym i wciąż nie tęsknię za pracą w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie. Teatr nie powinien przypominać pracy w biurze, a ja chciałem robić w nim takie rzeczy, które naprawdę by mnie interesowały. W teatrze powierzano mi przeważnie role młodych chłopców, wiekowo znacznie młodszych ode mnie i... epizody. Tylko raz zagrałem rolę napisaną z myślą o mnie. W sztuce Jacka Chmielnika „Wiosna w zoo” grałem Małpę i bawiłem się świetnie. Na szczęście mogłem realizować się znacznie pełniej w kabarecie. Od 1982 roku współpracuję z krakowską „Piwnicą pod Baranami”, co dawało mi i nadal daje pełne zadowolenie. Bardzo odpowiada mi atmosfera pełna nieskrepowanego tworzenia oraz towarzysząca temu wrzawa, a także pewien rodzaj szaleństwa i niezorganizowania. Myślę, że widać to w moim recitalu estradowym.

– Skąd pomysł na samodzielny recital?

– No cóż, trzeba było z czegoś żyć, pensje w teatrach są niskie, a w „Piwnicy pod Baranami” występuje się zwykle za „dwie wódki i paczkę papierosów”.

– Pan pali?

– Nie, dlatego trochę zaoszczędziłem.

– Co okazało się najtrudniejsze w samodzielnej pracy?

– Przewycięzenie własnego lenistwa.

– ?

– Tak, tak, najtrudniej przychodzi mi opanowanie tekstu.

– Nikt panu nie pomaga?

– Muzycznie czasami podpowiada mi kompozytor Zbigniew Preisner. Uwagi do układu poszczególnych piosenek dawał Piotr Skrzynecki. Ale repertuar dla siebie wybieram sam. Piosenka musi mnie zafrapować albo od strony muzycznej, albo tekstowej. Ideałem była „Sekretarka” Konstantego I. Gałczyńskiego do muzyki Ewy Korneckiej.

– Czy w każdej z piosenek jest cząstka pana osobowości?

– Moje piosenki odzwierciedlają stan mojego wnętrza. Raz jestem wesoły a raz smutny. Bardzo osobisty będzie mój następny recital. Będzie w nim śpiewały piosenki napisane specjalnie dla mnie i w pierwszej osobie. Po obecnym recitalu pozostanie w charakterze pamiątki kaseta „Live”, którą nagram na początku czerwca.

– Domyślałem się, że to pan jest reżyserem swojego recitalu, ale wyreżyserować samego siebie

jest sprawą bardzo trudną i w pewnym momencie może zabraknąć samokontroli?

– Ale można samodzielnie zrealizować kilka pokus aktorskich, mieć wolną rękę i sterować samym sobą podczas występu. Lubie wsłuchiwać się w publiczność... Bardzo pomocna okazała się kamera i oglądając własny program telewizyjny „Benefis”, uświadomiłem sobie – jakie popełniam błędy i wprowadziłem zmiany do recitalu estradowego. Podczas pracy nad drugim recitalem będę chciał mieć dobrego reżysera.

– W kraju nie zdobył pan jeszcze masowej popularności, równie choćby swemu konkurentowi Michałowi Bajorowi, ale i tak jak pisze Piotr Skrzynecki w programie: „Jacek Wójcicki po zaledwie kilku latach śpiewania stał się bożyszczem młodych (przede wszystkim panienek), chociaż uwielbiają go również starsi widzowie piwniczni”. Czy aby to uwielbienie nie zaczyna już panu ciążyć?



Jacek Wójcicki

– Nie uważam Michała Bajora za konkurenta, uprawiam inny rodzaj piosenkarstwa, co nie oznacza, że nie podoba mi się jego profesjonalizm. Młodzi ludzie znają mnie głównie z filmu o problematyce młodzieżowej „Ostatni dzwonek” Magdaleny Łazarkiewicz. Nie udaję nigdy kogoś kim nie jestem i przede wszystkim chcę być sobą. Niestety, nie znalazłem jeszcze sposobu na siebie, ale śpiewanie jest dla mnie wciąż wielką frajdą i za każdym razem, kiedy stoję przed publicznością – przeżywam dreszcz emocji.

– Najmilsze przejawy uwielbienia ze strony publiczności oprócz kwiatów i stojących owacji?

– Przede wszystkim mnóstwo listów, ale gdy-

bym chciał na wszystkie odpowiadać – musiałbym założyć biuro lub agencję. Na razie zaopatrzylem się w firmowy papier listowy z moim zdjęciem w odbicie kserograficznej i będę kreślił na nim choć kilka zdań do moich miłych korespondentów.

– „Posłuchajcie Jacka Wójcickiego, idźcie popatrzeć jak występuje, podziwiajcie, zaproszcie do domu” – pisze Piotr Skrzynecki. – I co – zapraszają pana?

– Tak, bardzo dużo osób chce mnie zaprosić z recitalem do domu, ale ja wolę jednak występować na estradzie.

– A gdzie powinien pokazywać się młody, utalentowany artysta ze swoim recitalem?

– Mógłby za granicą, trzeba myśleć szerzej, są teraz większe niż kiedyś perspektywy.

– Czy będzie pan w tym roku w Opolu, w Sopocie?

Niezależny

Rozmowa z Jackiem Wójcickim

– Nie jestem jeszcze przygotowany do tak odpowiedzialnych imprez festiwalowych, nie mam nowych piosenek. Może za rok...

– Jaki rodzaj piosenki najbardziej pana interesuje?

– Bardzo lubię utwory musicalowe i wielkie, mięsiste śpiewanie (Barbra Streisand, Liza Minnelli, Shirley Bassey), takie, w którym artysta ma coś do powiedzenia i do pokazania. W moim recitalu można znaleźć arie operowe (dumka Jontka z „Halki”, protest-song „Światło w tunelu, albo dekret o stanie wojennym”, „Modlitwa” lub groteskę, pastisz, kabaret („Wilkomen”, „Obiad rodzinny”, „Sekretarka”), a nawet światowy hit rozrywkowy.

– Po kim odziedziczył pan tak różnorodne talenty?

– Rodzice nie byli artystami, mama pisała zawodowo na maszynie. To dla niej śpiewam moją piosenkę o „Sekretarce”. Ojciec był pracownikiem biurowym. Siostra skończyła AWF. Sięgając dalej w rodowód, nie widzę artystów, np. dziadek był murarzem. Natomiast ciekawostką może stanowić fakt, że mama w 1946 roku została wybrana „Królową Piękności” największej dzielnicy Krakowa – Zwierzyńca, gdzie do dziś wszyscy mieszkamy. Ale ja nie jestem podobny do matki.

– Znak Zodiaku?

– Wodnik.

– A co z pana życiem prywatnym, o którym w ogóle nie rozmawiamy?

– Życie prywatne przeplata się z życiem zawodowym i doszło do tego, że nie bardzo wiadomo – co jest prywatne, a co zawodowe.

– Wierzy pan w swoją szczęśliwą gwiazdę, czy też stara się sam pomóc losowi?

– Wychodzę z założenia, iż trzeba pomagać losowi, więc nie czekam aż ktoś mnie zauważy, sam wychodzę naprzeciw i walczę o siebie. Tego uczyła nas w szkole teatralnej nasza profesor, wybitna aktorka Halina Gryglaszewska.

– Los uśmiecha się do pana czy też czasami rzuca mu kłody pod nogi?

– Obecnie mam „złoty okres” i oby trwał on jak najdłużej. Ponieważ ludzie akceptują to co robię, kłody nie wydają mi się zbyt wielkie i można po nich przejść.

– Oj, czy aby nie jest pan za bardzo rozpieszczany?

– U nas nigdy nie rozpieszczano artystów, a obecnie tym bardziej...

– Jakie oddziaływania pedagogiczne miały na pana największy wpływ?

– Dyscypliny, systematyczności nauczyłem się podczas wieloletniej pracy w Chłopięcym Chórze Filharmonii Krakowskiej, z którym zwiedziłem połowę świata i zdobyłem muzyczno-wokalny szlif. Obecnie, mój zawód jest jednocześnie moją pasją i dzięki temu jestem odporny na wszelkie przeciwności.

– A jeżeli zdarzy się, że popełni pan jakiś błąd lub narozrabia?

Rozmawiał:
Bohdan Gadamski

JACEK WÓJCICKI W ŁODZI

Nie trzeba chyba reklamować tego utalentowanego artysty z „Piwnicy pod Baranami” – znanego chociażby z głośnego filmu M. Łazarkiewicz „Ostatni dzwonek”, w którym wystąpił w roli „Świra”. Śpiewa wspaniale i przejmująco.

W ciągu kilku lat uzyskał olbrzymią popularność i stał się bożyszczem młodzieży. Pozornie nieśmiały i niemal dziecinny, na scenie staje się fascynującym demonem wesołej i smutnej piosenki.

Po sukcesach odniesionych w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, RFN, krajach skandynawskich wystąpi w Łodzi dn. 8 i 9 czerwca w Teatrze Muzycznym o godz. 17.00 i 20.00.

Bilety do nabycia w kasie teatru, CIK-u ul. Zamenhofa 1/3 i Łódzkim Towarzystwie Muzycznym ul. Piotrkowska 65.

Oblicza Terpsychory czyli XI Łódzkie Spotkania Baletowe (2)

Łódź, dzięki Spotkaniom Baletowym, uznawana jest za stolicę baletu, jednak Poznań jest jedynym miastem, w którym od lat współistnieją dwa zespoły baletowe: Polski Teatr Tańca i balet Teatru Wielkiego. Ten ostatni zaprezentował w ramach Spotkań przedstawienie pt. „Kurtyna w górę”, będące humorystycznym ujęciem zagadnień związanych z tworzeniem spektaklu baletowego. Wykorzystując sprawdzoną konwencję teatru w teatrze, inscenizator i choreograf – Mirosław Różalski – w pierwszej części przedstawił w uproszczonym schemacie baletową „kuchnię”, której zadaniem jest przygotowanie widowiska do premiery. Mamy więc trochę gimnastyki, lekcji, a nawet dialogu. II część to już pokaz umiejętności tancerzy, niestety nie będący ani fabularnym opowiadaniem, ani impresją. Utwory muzyczne wypełniające program tej części nie są tymi, które asystowały przy próbach. Mamy więc przykład zbyt daleko idącego uproszczenia w samym scenariuszu. Wydaje mi się, że Różalski zanadto niecierpliwie podszedł do całości dzieła, co spowodowało, że jest ono niedostatecznie silnie zmontowane, chwilami nawet wręcz się w najbardziej interesujących momentach. Myślę jednak, że wspomniane mankamenty uda się dość szybko zlikwidować i młoda publiczność, do której wyraźnie jest realizacja adresowana, przyjmować będzie ją z takim entuzjazmem, jaki towarzyszył występom Teatru Ekspresji.

Cztery lata temu założył go wraz z grupą młodych sportowców Wojciech Misiuro. Teatr ten wymyka się obowiązującym kryteriom klasyfikacyjnym, sprowadzając na manowce każdego, kto chciałby go nazwać. Jego najbardziej charakterystyczną cechą jest ekspresja zawarta w ruchu ludzkiego ciała. Za pomocą tego tworzywa W. Misiuro kreuje spektakle zawierające w sobie elementy tańca, pantomimy i teatru, z którego jednak słowo wyeliminowane jest całkowicie.

Na tegorocznych Spotkaniach Baletowych gdański zespół zaprezentował zrealizowanych w 1989 roku „Dantończyków”. Na konferencji prasowej Misiuro powiedział, że „Dantończykami” udowodnia bezcelowość rewolucji; po cóż ją „robić”, skoro na świecie żyją i tworzą artyści, którzy swą pracą w pewnym sensie rewolucjonizują świat. Jednocześnie przyznał, że chciałby wraz z zespołem zrehabilitować dotychczasowe pojmowanie sformalizowanego teatru czy tańca.

Dyskusyjny jednak pozostaje fakt powodzenia przedsięwzięcia. Wrogim byłoby dla Teatru Ekspresji twierdzenie, że wszystko już było, niemniej samo ciśnie się ono na usta.

„Dantończykami” niczego rewolucyjnego o rewolucji ani o sztuce nie powiedziano. Niezbyt także rewolucyjna była sama forma spektaklu i jego zawartość. Pewne jest tylko to, że ludzie Misiury potrafili być precyzyjni, szybko po scenie biegać i nieruchomo na niej stać i, że niewiele z tego wynika. Poza nielicznymi interesującymi pomysłami, realizacja nie zgrzeszyła niczym zajmującym. Przyniosła natomiast ze sobą kilka niesmacznych scen (jak choćby wulgarnej kopulacji), więcej scen i gestów do znudzenia powielanych (pełne namaszczenia kiwanie nogami czy tenis w wykonaniu Ludwika XVI i Marii Antoniny), a jeszcze więcej nieporozumień. Po przedstawieniu usłyszałem od jednej z „rozedrganych” nastolatek, że spektakl był piękny, bo dowiódł, że nawet po wojnie (sic!) Paryż jest stolicą światowej mody. Hm... Przyznam, że w pełni zgadzam się z Wojciechem Misiuro. Nie warto na siłę robić rewolucji nawet w teatrze, skoro wokół istnieje świat Leonarda czy Lutosławskiego.

Równolatkiem Teatru Ekspresji jest zespół baletowy z Barcelony, który na spotkania baletowe przyjechał raczej ze spektaklami pantomimicznymi.

Nats Nus Danca (Urodzeni nago) w kompozycji „Newton” z muzyką J.S. Bacha i J. Navarrete, przedstawili w bardzo zabawny sposób teorię grawitacji. Niefrasobliwie przekładanki ciała sugerujące zmianę punktów odniesienia w stosunku do przyciągania ziemskiego były zasadniczym punktem gry pt. jak pokonać grawitację. „Newtona” z pewnością można polecić tym uczniom, dla których podręcznik fizyki jest lekturą nie do strawienia; katalończycy dają wykład niezwykle wesoły, przez co o wiele ciekawszy. Fascynacja trzema zasadami dynamiki kulminację osiąga w momencie, gdy z taśmy słyszymy dźwiękowy efekt ulew, a na scenę spada „prawdziwy” deszcz tekturowych pudełek. Spektakl pointuje opadające powoli piórko, a w chwilę po nim kurtyna – grawitacja jest nie do pokonania.

Drugą część wieczoru zespół wypełnił kompozycjami Toma Waitsa. Całość pt. „Strangers In The Night” opowiedziała w sposób równie żartobliwy o naszych nocnych zajęciach: o samotnych spacerach, o randkach, o kłótniach i miłościach, wreszcie, o skutkach nocnego pijaństwa. Kolejno zmieniające się obrazy ilustrowała choreografia związana raczej z tańcem towarzyskim. Pięć katalońskich tancerzy wywołało miłe wrażenie, jednak uważam, że w przypadku festiwalu baletowego, pantomima i teatralna komediowość nie powinna górować nad tańcem.

Z największym zainteresowaniem uczestnicy Spotkań oczekiwali występu znanego i znakomi-

tego Batsheva Dance Company. Ten liczący sobie 27 lat zespół od dawna zaliczany jest do grona najwybitniejszych. Wszyscy pamiętamy ich wspaniały sukces, jaki odnieśli dwa lata temu, prezentując sztukę wykonawcy najwyższej próby. Oglądaliśmy wówczas choreografię Ohada Naharina (obecnego dyrektora zespołu), Daniela Ezralowa, Roberta Northa.

Od samych nazwisk kręci się w głowie. Nic więc dziwnego, że widowiska Teatru Wielkiego była całkowicie wypełniona. Izraelscy tancerze tym razem przywieźli głównie realizację swojego szefa. Ja jednak za najciekawszy uznałem zaledwie czterominutowy utwór choreografki Elizabeth Streb, w wykonaniu doskonałego Yosi Yungmana, przedstawiający obraz człowieka zamkniętego w pudełku, puszcze, trumnie czy raczej w swej samotności, z której nie można przedostać się do świata. Pozostałe trzy choreografie to już nie było to. Oczywiście zespół jest wspaniały, niezawodny technicznie, dysponujący nieograniczonymi wręcz możliwościami, jednak myśl choreograficzna O. Naharina nie była już tak barwna i błyskotliwa, jaką zaprezentował w „Tabula rasa”. Wiele interesujących momentów miał „Kyr”, a także ułożony do muzyki Arvo Pärta „Arbos”, ale uczucie niedosytu i zawodu pozostało. Batsheva Dance Company był dla mnie zespołem jedynym, dziś stał się jednym z wielu. Mam nadzieję, że oryginalność, świeżość i lekkość nie opuściły go na zawsze.

Michał Lenarciński

Politycy II Rzeczypospolitej

Wojciech Trampczyński

Był pierwszym marszałkiem Sejmu – pierwszego Sejmu wybranego w niepodległej Polsce w 1919 roku. Był marszałkiem Sejmu zwanego Ustawodawczym, który miał opracować i przyjąć Konstytucję. Stało się to 17 marca 1921 roku. Kolejne wybory odbyły się w listopadzie 1922 roku. Marszałkiem Sejmu został Maciej Rataj.

Wojciech Trampczyński urodził się w 1860 roku w ziemiańskiej rodzinie w Wielkopolsce. Ukończył studia prawnicze, zdobył solidne wykształcenie. Był człowiekiem postawnym, nosił bujną czuprynę i nie stronił ani od dobrego jadła, ani od piwa, które często popijał w sejmowej restauracji lub wieczorem w resursie kupieckiej.

Bernard Singer – sprawozdawca sejmowy „Naszego Przeglądu” – tak o nim pisał w maju 1928 roku:

„Gdy otyły, wysoki pan o melancholijnym złym spojrzeniu siedział na swoim marszałkowskim krześle, każdy miał poczucie, że parlament opiera się o trwałe, mocne podstawy, że nikt nie tknie parlamentu, tak jak trudno byłoby ruszyć z miejsca masywnego marszałka Trampczyńskiego”.

A gdy po zamachu majowym w 1926 roku Józef Piłsudski ruszył do walki z „sejmowładztwem”, gdy zaatakował parlament, a marszałek Sejmu RP Maciej Rataj cierpliwie znosił zadawane Sejmowi ciosy, marszałek Senatu RP ruszył do obrony, protestując nieustannie przeciw polityce stosowanej wobec polskiego parlamentu.

W 1910 roku został posłem na sejm pruski, a od 1912 roku był posłem na sejm niemiecki. Tam uczył się parlamentaryzmu. Wraz z Wojciechem Korfantiem wystąpił z propozycją nadania ziemom zaboru pruskiego autonomii, co wywołało polityczną burzę i – jak to zwykle bywa – skończyło się fiaskiem. W latach 1918-1919 był członkiem Narodowej Rady Ludowej w Poznaniu. W 1920 roku był przewodniczącym Głównego Komitetu Plebiscytowego, a w dniach zagrożenia Warszawy przez wojska Michaiła Tuchaczewskiego został członkiem Rady Obrony Państwa. Mówił wtedy w Sejmie RP:

– „Wyraziliśmy od dawna już okazywaną gotowość do rozejmu i pokoju, jednak sprawiedliwy pokój, odpowiadający godności narodowej i żywotnym interesom narodu, osiągnąć może tylko ten naród, który zdecydowany jest do dalszej walki... w narodzie polskim tkwi jeszcze siła nieprzebrana i można jeszcze i trzeba wydobyc z narodu armie krociowe od obrony Ojczyzny; trzeba żelaznej woli, skupienia wszystkich sił i przetrwania obecnego ciężkiego kryzysu...”

Był zwolennikiem narodowej demokracji, przewodniczył Związkom Ludowo-Narodowemu. „Poznań powierzył mi misję walki z wrogami Polski: z Niemcami, Żydami a szczególnie z marszałkiem Piłsudskim” – pisał w 1929 roku Bernard Singer. – „Lecząc się odnosił się Trampczyński do Paderewskiego, z góry patrzył na przywódcę chłopskiego Witosza. Szydził z lewej opozycji, czuł odrazę do mniejszości narodowych, nienawidził najserdeczniej jednak Piłsudskiego”. Nie wychodził na spotkanie Naczelnika Państwa – Józefa Piłsudskiego, gdy ten przybywał do Sejmu. Do Belwederu udawał się kareta i nigdy nie przebywał tam dłużej niż 15 minut.

Z nadzwyczajnym spokojem przyglądał się poselskim obstrukcjom, które wyrażały się biciem pięścią w pulpity, okrzykami, robieniem hałasu. „Rzadko wstawał z krzesła marszałkowskiego” – pisał o nim Bernard Singer – by wyprostować się i majestatycznym spojrzeniem uspokoić oponentów. Jeszcze rzadziej przywoływał posłów do porządku swym basowym głosem”. Władysław Pobóg-Malinowski opisuje zdarzenie z 21 października 1920 roku, gdy po burzliwej dyskusji nad projektem konstytucji nastąpiło głosowanie. Chodziło o Senat. Lewica była przeciwna powołaniu Senatu, prawica była za Senatem. W głosowaniu przeważały głosy posłów niemieckich. Po ogłoszeniu wyników głosowania z ław lewicy podniosły się głosy. Krzyczano: – Zdradcy! Targowiczanie! Iście zapłacili za to Szwabom?! Marszałek Wojciech Trampczyński nie był w stanie opanować tumultu. Wstał i wyszedł z sali obrad. Projekt konstytucji skierowano do komisji.

W 1922 roku wybrano Senat RP. Do marszałkowskiego fotela kandydowali wówczas: Józef Ostrowski, Wojciech Trampczyński, Wincenty Witos. W drugim głosowaniu zwyciężył Wincenty Witos 6 głosami. Przewodził Senatowi RP do 1927 roku. W 1928 roku został ponownie wybrany posłem i utrzymał mandat poselski do 1935 roku.

Ignacy Daszyński w 1930 roku tak pisał na łamach „Robotnika”:

„Groźąc „sub rosa” zabiciem siedemdziesięciokuletniego b. Marszałka Sejmu, potem Senatu p. Trampczyńskiego, zrobiono go w szerokich kołach słusznie popularnym człowiekiem. Narodowi demokraci odrabiają swoją majową klęskę. Weszli nie tylko do szeregów „pomajowych”, stworzyli liczną „czwartą brygadę”, ale nadto opanowali całą niemal młodzież szkół średnich i wyższych i gdyby przy najbliższych wyborach nie oszukiwano i nie przekupywano, zdobyłaby prawdopodobnie więcej mandatów, niż jąda obecnie”.

Wojciech Trampczyński przeniósł się do Poznania, miasta i regionu opanowanego przez endecję, gdzie odpoczywał i dalej toczył boje.

Po wojnie, był już dobieży po osiemdziesiątce, próbował powrócić do życia politycznego. W nowych warunkach politycznych było to niemożliwe. Zmarł w 1953 roku.

Leopold Kosternik

HISTORIA

W rejonie Jezior Słonich i Sodowych w Mongolii znajduje się osada przemysłowa nosząca nazwę Fort Grochowski. Założył ją w 1916 roku inżynier górniczy, który chciał utworzyć polskie zagłębie w kraju potomków Czyngis-chana. Był jednym z tych, którzy przed I wojną światową robili fortuny na Wschodzie. Od rządu mongolskiego zdołał pozyskać koncesję w prowincji Chulunbair, obejmującą obszar 40 tysięcy kilometrów kwadratowych, równy powierzchni Szwajcarii. Pierwszymi osiedleńcami jego zagłębia mieli zostać Polacy – uchodźcy z Amuru, zesłani przez władze carskie na najdalsze peryferie Rosji.

Kazimierz Grochowski odkrył na terenie swej koncesji złoto, miedź, rudy srebra i ołowiu, sodę, asfalt, węgiel kamienny i ropę naftową. Pierwsza wojna światowa przeszkodziła mu w uruchomieniu kopalni. Potem przyszła rewolucja i proklamowanie republiki ludowej

już się wypaliła. Przeniosła się na rosyjskie wybrzeże Pacyfiku. We Władywostoku roilo się od awanturników z całego świata. Rosjanie, Chińczycy, Koreańczycy, Szwedzi, Amerykanie i przybysze z innych krajów zakładali najrozmaitsze przedsiębiorstwa i błyskawicznie dorabiali się olbrzymich majątków.

Fortuna uśmiechnęła się do polskiego inżyniera. Znalazł kilka obszarów złotonosnych. To zaprowadziło go na wysokie stanowisko w międzynarodowym koncernie. Z ramienia The Upper Amur Gold Mining Company zaczął badać Jakucję. Zainteresował się etnografią i historią ludów Syberii, zoologią i botaniką zamieszkałych przez nie krain. Sporządził pierwszy słownik polsko-tunguski, który w latach trzydziestych przekazał wybitnemu polskiemu mongolistom profesorowi Władysławowi Kotwiczowi. Studiował też mowę jakucką.

W 1914 nasz niezmordowany poszukiwacz przygód został dyrektorem The North East

ni antracytu oraz takiej samej kopalni wapienia, jeśli można nazwać kopalnią górę, składającą się w całości z tego mineralu. Ziemia wypiętrzyła tutaj pod same stopy pasterzy niewyobrażalne wprost bogactwa. Byłem w kombinacji kobałtowym w Chowu-Aksy, gdzie spotkałem – a jakże by inaczej – Polaka, Henryka Domańskiego, nauczyciela w miejscowej szkole.

Jack London na polskim ślubie

Kazimierz Grochowski spędził w Urianchaju pół roku. Później, w 1932 roku, odwiedził niepodległą Republikę Tannu-Tuwa. W latach II wojny światowej stała się ona autonomicznym obwodem RFSRR, następnie republiką autonomiczną. Obecnie zmierza ponownie ku suwerenności. W 1990 roku miały w niej miejsce zamieszki antyrosyjskie. Kazimierz Grochowski w przerwach swoich wypraw po Syberii i Dalekim Wschodzie zdążył odwiedzić Hawaje i Alaskę. Przez Cieśninę Beringa przeszedł podobno na Półwysp Czukocki. Był też na Aleutach. Zwiedzał kopalnię złota Kalifornii, Arizony i Meksyku. W 1919 roku szukał złota w dorzeczu Amuru, nad rzeką Selengą. Po zajęciu tego obszaru przez wojska radzieckie wyjechał do Chin. W 1920 roku osiadł w Charbinie.

Towarzyszyła mu żona Elisabeth Jumith, którą poznał jako uczennicę gimnazjum w Rydze, a potem spotkał na przyjęciu w konsulacie rosyjskim w San Francisco. Pobrali się w Kalifornii, a pierwszym drużbą na jego ślubie był John Griffith – pokrewna dusza, także pisarz i podróżnik, poszukiwacz złota, bardziej znany jako Jack London.

Działacz Polonii

Ludowa Mongolia nie zamknęła przed Grochowskim swoich granic. W 1924 roku zbadał znaczną część prowincji Barga w widłach rzek Gana i Derbula, w pobliżu ich ujścia do Arguni. W 1927 roku odnalazł i zidentyfikował zagrzebane w pustyni miasto Hubitaja, syna Czyngis-chana. W XIII wieku była to druga obok Pekinu stolica mongolskiego władcy, przed którym drżała Azja i Europa.

Zbiory archeologiczne Kazimierza Grochowskiego stały się załącznikiem Państwowego Muzeum Mongolskiej Republiki Ludowej. Po zajęciu Mandżurii przez Japończyków Kazimierz Grochowski opuścił Charbin i wyjechał do Polski. Przywiózł kilkanaście skrzyni materiałów naukowych, w tym wielkiej wartości historycznej posąg bogini, wykopanej w dawnej stolicy Czyngis-chana. Ekspozatę przekazał Muzeum Narodowemu.

W Charbinie był długoletnim prezesem tamtejszej Polonii. Redagował „Listy polskie z Dalekiego Wschodu”, „Tygodnik Polski”, „Pamiętnik Charbiński”, „Ruch Chrześcijański-Społeczny”. Wykładał geografii i historię w polskim gimnazjum humanistycznym im. Henryka Sienkiewicza.

W 1929 roku został delegatem polskiej polskiej w Chinach na pierwszy zjazd Polaków z zagranicy. Przywiózł do Warszawy na to spotkanie wydaną w Charbinie swą książkę „Polacy na Dalekim Wschodzie”.

W 1934 roku podjął pracę w Konwencji Węglowej w Katowicach. W 1937 roku otrzymał od rządu filipińskiego zaproszenie do objęcia stanowiska dyrektora kopalni złota w Manili. Postanowił odwiedzić po drodze rodzinę w Charbinie. Tam zmarł 12 marca 1937 roku na atak serca.

Ryszard Badowski

Jeden z tych, którzy odkrywali świat: badał Mongolię, dotarł do Tuwy, przewodził Polonii w Chinach.

Konno i pieszo po bezdrożach

w Mongolii. Nowe władze anulowały umowy.

Gdyby nie burza nad Azją... koncesja Kazimierza Grochowskiego byłaby ważna do 1966 roku! Jej właściciel zmarł w 1937 roku w Mandżurii. Pochowany został na cmentarzu katolickim w Charbinie. Wdowa po nim przekazała do Biblioteki Narodowej w Warszawie notatniki z jego licznych podróży. Tu odnalazł je w 1958 roku Edward Kajdański, repatriant z Chin. Opracował i podał do druku „Dzienniki syberyjskich podróży Kazimierza Grochowskiego” z lat 1910-1914. Obejmują one zaledwie część życia.

Kazimierz Grochowski miał za sobą studia na uniwersytecie w Wiedniu oraz w akademiach górniczych w Leoben, Przybramie i Freibergu w Saksii, pracę w charakterze robotnika w kopalniach węgla kamiennego w Westfalii i Alzacji oraz na polach naftowych w Schodnicy pod Boryslawem. Jako poddany cesarza Franciszka Józefa (urodził się w Galicji) jednoroczną służbę wojskową odbył w Budapeszcie. Zajął się jako inżynier do kopalni węgla kamiennego w Zagłębiu Donieckim, gdzie pracowało wielu Polaków. W 1906 roku na zaproszenie międzynarodowego koncernu górniczego wyjechał do Indii, potem do Japonii.

Przygoda nad Pacyfikiem

Trafił do Władywostoku, a stamtąd na Sachalin, gdzie prowadził badania i studia górnicze, geologiczne i ekonomiczne. W 1909 roku objął stanowisko wicedyrektora w The Upper Amur Gold Mining Company.

Gość złota w Kalifornii oraz na Alasce

Mongolia Concession z siedzibą w Chajlarze, w Mandżurii. W 1916 roku zrezygnował z pracy w koncernie i podjął badania górnicze w Mongolii. Przyniósł mu oprócz ponętnej koncesji na wschód od jeziora Buir-nur zaproszenie do Kraju Urianchajskiego czyli dzisiejszej Tuwy. Trafił tam w 1917 roku jako jeden z pierwszych Polaków. Fakt ten nie jest znany Tuwińczykom. W 1965 roku premier Tuwińskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, Mendume, przekonywał mnie, że jestem pierwszym Polakiem w Tuwie od czasu wyprawy Feliksa Kona do tego kraju przed I wojną światową. Andrzej Bińkowski w książce „Pocztówka z Syberii”, wydanej w 1975 roku, pisze, że witano go w stolicy Tuwy jako czwartego ex aequo Polaka z reporterem Andrzejem Sroczyńskim „po rewolucjonistę Feliksie Konie, dziennikarzu Ryszardzie Badowskim oraz pewnym filmowcu”. Tym filmowcem również byłem ja. Z kamerą znalazłem się w Tuwie przy innej okazji, jako uczestnik wyprawy archeologicznej Akademii Nauk ZSRR. Zaliczono mnie zatem podwójnie do pierwszych Polaków w Tuwie.

Kazimierz Grochowski przebył konno i pieszo szlak od Krasnojarska do Białocarska. Tak nazywała się wówczas stolica Tuwy, dzisiejsze miasto Kyzyl. Dalej posuwał się wzdłuż Ka Chemu czyli Małego Jeniseju i po skróceniu na południe przeciął pasmo górskie Tannu-Ola. Nie wiedząc nic o swoim znakomitym poprzedniku przejechałem dokładnie tą samą trasą blisko pół wieku później, kręcąc reportaż filmowy dla polskiej telewizji m.in. z wielkiej odkrywkowej kopalni azbestu, odkrywkowej kopal-

Dawna Łódź

Plebiscyt '46

Z wycieczek dawnej i nowej prasy „Dziennik Łódzki” ogłosił na początku 1946 r. plebiscyt na najpopularniejszych w Łodzi przedstawicieli różnych zawodów. Ankieta „Kto jest najpopularniejszym człowiekiem w Łodzi”, opublikowana 13 stycznia, nie ograniczała głosowania do jednej tylko, najbardziej popularnej osoby, ale dawała możliwość wyróżnienia 9 reprezentantów rozmaitych profesji: działacza społecznego, aktora, literata, profesora wyższej uczelni, duchownego, lekarza, prawnika, boksera i piłkarza. Urny do zbierania kuponów wystawiono w lokalu redakcji „Dziennika Łódzkiego” oraz w sklepach „Czytelnika” przy ul. Piotrkowskiej 62, 96 i 147. Ankieta trwała od 13 do 23 stycznia, a termin składania kuponów mijał 31 stycznia.

Do urn zebrano ponad sto tysięcy kuponów, po czym przystąpiono do obliczania głosów. Bez względu na większość uzyskał prof. UŁ Tadeusz Kotarbiński (1886-1981), „mąż uczony, persona naukowa grata, jednocześnie nie od dziś znany demokracja” jak relacjonował redakcyjny wierszopis. Profesor uzyskał 39 002 głosy, wyprzedzając ówczesnego prezydenta Łodzi Kazimierza Mijała (ur. 15 IX 1910), który zdobył 37 780 głosów i rytmowaną laurkę: „dostojny ojciec miasta, grodzki

wojewoda, przystojny, lecz żonaty, panny myślą: szkoda”. Trzecim z kolei był „Zelwer – jeden z najlepszych – koryfeusz sceny, zawsze wierny kochanek pięknej Melpomeny”, czyli Aleksander Zelwerowicz (1877-1955), wówczas aktor Teatru Wojska Polskiego w Łodzi. Zelwerowicz uzyskał 32 260 głosów, wyprzedzając boksera Józefa Pisarskiego (ur. 15 VI 1913), niedawnego reprezentanta Polski w meczu z Czechosłowacją. Kolejne miejsce i 29 170 głosów uzyskał Wincenty Tomaszewicz (1876-1965), współorganizator Wydziału Lekarskiego UŁ i dyrektor Szpitala Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Stefana Kopcińskiego 22 (obecnie Szpital Kliniczny nr 1 im. Norberta Barlickiego Akademii Medycznej w Łodzi). Tylko 28 860 głosów zdobył poeta Władysław Broniewski (1897-1962), od niedawna mieszkający w Łodzi po wieloletniej tułaczce wojennej, „urozmaiconej” po bytem w sowieckim więzieniu. Przy okazji cytowany wierszopis ujawnił, że laureat „rzucił się do kieliszka, jak wytrwany nurek, syn niepodległej pieśni i ojciec dwóch córek”. Znacznie mniej, bo 21 030 głosów, zdobył urodzony w 1875 r. sędzia Kazimierz Bzowski, prezes Izby Karnej Sądu Najwyższego. Kolejnym na liście najpopularniejszych mieszkańców miasta był z 17 670 głosami złotousty kaznodzieja ks. ppłk Włodzimierz Ławrynów (1910-1981), były kapelan AK-owskiemu grupowania „Jerzyków”, od marca 1945 r. mieszkający w Łodzi jako dziekan okręgu wojskowego i organizator kościoła garnizonowego w dawnym ośrodku ewangelickim przy pl. Wolności. Najmniejszą liczbę głosów zdobył piłkarz, hokeista i narciarz Władysław Król (1907-1991), przedwojenny reprezentant Polski na zimowej olimpiadzie w Garmisch Partenkirchen. Wśród wyróżnionych

sportowców była też lekkoatletka Jadwiga Głażewska, na którą oddano 2836 głosów.

Tadeusz Kotarbiński, proszony o wypowiedź dla czytelników gazety, rzekł: „Często, choć bynajmniej nie zawsze, bierze człowiek należytą odpowiedzialność za to, co wyrzucił bliźniemu. Profesor wystawia cenzurę uczniom, więc nie dziwnego, że sam musi niekiedy zasiąść na cenzurowanym. Wbrew oczekiwaniu zdawczy pomyślnie egzamin z popularności, nie mogą nie zastanowić się nad samym przedmiotem egzaminu. Popularność bywa dwojakiego rodzaju. Polega ona bądź na tym, że człowiek jest znany, bądź na tym, że jest uznany. Popularność pierwszego rodzaju wynika z sytuacji, popularność drugiego rodzaju, jeśli uzasadniona, zawiera w sobie pierwiastek zasługi”.

Kazimierz Mijał podjął również temat popularności, mówiąc: „Popularność stanowi swego rodzaju kontrolę działalności. Popularność łączy się z zaufaniem, a zaufanie stanowi bodziec do dalszej pracy i takiego spełniania obowiązków, by zdobyć tego zaufania nie stracić”.

Wincenty Tomaszewicz wyznał: „Przez całe swe życie pracowałem dla ludzi niemających i tym zasadam do końca życia pozostać wierni. Zawsze mi będą drogie interesy tych, którzy swego istnienia sami bronić nie mogą”. Ks. Włodzimierz Ławrynów nawiązał do istoty swego posłannictwa: „Gdybym był człowiekiem świeckim, byłbym może dumny z takiego dowodu zaufania ze strony społeczeństwa. Ale jako ksiądz nie widzę w tym swojej zasługi. Jestem tylko kapłanem, służą bożym i naprawdę nie wiem, za co spotkało mnie takie wyróżnienie”.

Andrzej Kempa

1891–1991 „Rerum Novarum”

Koniec XVIII i początek XIX w. zaowocował wielkim ożywieniem katolickiej myśli społecznej. Następują w tym czasie głębokie przeobrażenia stosunków społeczno-gospodarczych i politycznych. Zachodzące zmiany grożą zupełną dechrystianizacją cywilizacji europejskiej. Jak to określił Pius XI w „Ubi Arcana Dei”, niebezpieczeństwem czasów dzisiejszych jest to, że obyczaj chrześcijański znika tak, iż społeczeństwa współczesne zdają się zdążyć nie po drodze ku dobru, ale cofają się na drodze postępu cywilizacji, zmierzając ku zupełnemu barbarzyństwu.

Wpłynęły na to przede wszystkim: – Rewolucja francuska, której skutki społeczno-gospodarcze rozszerzyły się dzięki podbojom Napoleona na całą prawie Europę, wprowadzając głębokie zmiany ustrojowe oraz rewolucja przemysłowa stawiająca problem – kapitalizm a pauperyzacja szerokich warstw proletariackich. Zagadnienie stosunków katolików do rewolucji sprowadzało się w dużej mierze do sprawy stosunku Kościoła do państwa, rozgraniczenia władzy duchownej od świeckiej. Nowej aktualności nabrało ono w związku z ru-

Leon XIII stwierdza, że olbrzymia część klasy pracującej znajduje się „w stanie niezaspokojonej, a okropnej niedoli” i daje dość szeroki wachlarz przyczyn, które doprowadziły do tego stanu. Od pozbawienia robotników ochrony prawnej, ograniczenia wpływu religii i moralności na ustawodawstwo państwowe, monopol na rynku towarów i pracy, do zagadnień lichwy sterowanej przez pracowników. Wymienione zjawiska doprowadziły do tego „że garść możnych nalożyła jarzmo prawie niewolnicze niezmiernie liczbie proletariuszów”. Naczelnym punktem reformy mającej na celu zmianę tej sytuacji jest zdaniem papieża uwłaszczenie mas pracujących. Należy je osiągnąć nie na drodze nowego rozdziału majątku społecznego, czy powstania własności wspólnej naruszającej prawo własności, ale przez płacę, która zapewni uczciwemu pracownikowi „środki na utrzymanie żony i dzieci, oraz możliwość odkładania oszczędności, aby z czasem dojść do skromnego mienia”. W uwłaszczeniu przez płacę widzi papież sposób na wzrost produkcji, bowiem „rosnie w człowieku ochota do pracy i pilności, jeśli wie, że na swoim pracuje”, a co za tym idzie, wzrost ogólnego dobrobytu narodów.

„Nie ma podstaw do wysuwania opatrności państwowej na usprawiedliwienie własności wspólnej – człowiek bowiem starszy jest niżli

Kapitał, praca i sprawiedliwość

chami wolnościowymi we Włoszech, które doprowadziły do zjednoczenia tego kraju pod panowaniem dynastii sabaudzkiej. Papieństwo utraciło przy tym Państwo Kościelne, a Pius IX zamknął się w murach Watykanu, stając się do bólu wolnym więźniem w państwie włoskim.

Następca jego został Leon XIII, którego dziełem jest tak wielkie wzmocnienie powagi Stolicy Apostolskiej, że, mimo utraty własnego państwa, zyskuje ona autorytet międzynarodowy. Leon XIII staje na gruncie rozgraniczenia władzy państwowej i nadprzyrodzonej władzy Kościoła, ale równocześnie uważa za obowiązek katolików udział w życiu państwa. M.in. skłania katolików francuskich do pogodzenia się z ustrojem republikańskim, jego staraniom w dużej mierze należy przypisać zaprzestanie walki – kulturkampf – między Otto von Bismarckiem a stronnictwem katolickim w Niemczech.

Dążeniem Leona XIII jest uaktywnienie społeczne katolików. Podejmuje dlatego inicjatywę wypracowania stanowiska Kościoła wobec aktualnych problemów społeczno-gospodarczych. Najbardziej wówczas palącym problemem jest tzw. kwestia społeczna, dotycząca robotników przemysłowych. Jej to właśnie poświęca papież swą encyklikę „Rerum Novarum” wydaną 15 maja 1891 r., której osią jest ocena ówczesnej sytuacji społecznej proletariatu. Zagadnienie to ujmując encyklika w szerokim aspekcie filozoficznym, etycznym i gospodarczym, stając się ogólnym wykładem nauki społecznej Kościoła. Uzasadniając jej wydanie wskazuje Leon XIII na następujące punkty:

- zmiany techniki produkcji przemysłowej
 - rozpowszechnienie pracy najemnej
 - skupienie bogactw w rękach nielicznej grupy kapitalistów, przy równoczesnym zubożeniu mas pracujących
 - wzrost poczucia więzów solidarności robotniczej
 - upadek moralności społecznej
- Przemiany te doprowadziły do tego, że „zawrzała walka klas”.

państwo, a prawo do życia i troski o ciało otrzymał jeszcze, zanim jakiekolwiek państwo powstało”. Mamy tu do czynienia z rozwinięciem chrześcijańskiej teorii własności, opartej na Piśmie Świętym. Źródłem prawa własności jest prawo do życia, co potwierdza VII i X przykazanie Dekalogu.

„Powszechnym sposobem zdobywania środków do życia i utrzymania jest praca”. Własność ma więc charakter osobowy, gdyż pracownik wyciska na niej „jak gdyby kształt swojej osobowości”. Zdaniem Leona XIII własność wspólna zagraża dobru rodziny i przeciwstawia jej tzw. własność rodzinną, chroniącą autonomię rodziny. Państwo może wkraczać w sprawy rodziny tylko wtedy, gdy rodzina potrzebuje pomocy z jego strony. Własność osobista wreszcie to podstawa wolności człowieka. Przewodziła rozwojowi społecznemu, stwarzała możliwość swobodnego rozwoju jednostek i ich talentów, utrudniała zniewolenie człowieka. Rozwiązaniu socjalistycznemu przeciwstawia papież propozycję zdrowej polityki społecznej, której podmiotem powinny być: Kościół, państwo i stowarzyszenia zawodowe samych robotników. Rola Kościoła ma wyrażać się w potrójnej funkcji: nauczyciela, wychowawcy oraz podmiotu praktycznej i czynnej miłości bliźniego. W dziedzinach tych Kościół powinien zmierzać do umocnienia społecznego oraz poprawy bytu materialnego wszystkich. Troska o dobrobyt ogółu jest zdaniem papieża jednym z podstawowych obowiązków państwa wynikających z tego, że pracy robotniczej zawdzięcza państwo całą swoją potęgę.

Personalizm i podstawowe zasady społeczne, wskazują na konkretne sposoby usunięcia zła społecznego zgodnie z zasadami moralności chrześcijańskiej. Leon XIII ujawnia w 1891 r. prawdę aktualną u schyłku XX w. – dechrystianizację życia społecznego, której przeciwstawić należy powrót do nauki społecznej Kościoła i praktykę życia, którego punktem wyjścia jest godność, stwarzająca podstawę praw człowieka.

Grzegorz Kabaciński



Leon XIII

Włoski arystokrata Vincenzo Gioacchino Pecci, urodzony w 1810 roku, papieżem został 20 lutego 1878 roku i stał na czele Kościoła rzymskokatolickiego przez 25 lat i 5 miesięcy. Jego poprzednik Pius IX panował w Watykanie od 1846 roku przez 31 lat i 7 miesięcy. Leon XIII był 252 papieżem po świętym Piotrze. Tak jak jego poprzednik uważał się za „więźnia w Watykanie” na znak protestu przeciw likwidacji Państwa Kościelnego, które zostało przyłączone do Królestwa Włoskiego.

Przyczynił się do zahamowania „kulturkampfu” w Cesarstwie Niemieckim, próbował przeciwstawiać się prześladowaniu jezuitów we Francji. Jest autorem 20 encyklik.

21 kwietnia 1878 roku ukazała się pierwsza encyklika Leona XIII – „Inscrutabilia”, w której przypomniane zostały „odwieczne zasady prawdy i niezmiennie normy prawa i sprawiedliwości”. Encyklika „Aeterni Patris” z 4 sierpnia 1879 roku przypominała nauki filozoficzne św. Tomasza z Akwinu i stała się podstawą neotomizmu. Była jednocześnie pierwszą encykliką z 12, które zostały wydane w „Corpus Leoninum”. Był też teoretykiem i twórcą chrześcijańskiej demokracji.

Najważniejszą jego encykliką była niewątpliwie encyklika z 15 maja 1891 roku „Rerum Novarum”. Niektórzy historycy uważają, że przygotował ją arcybiskup Westminsteru kardynał Henry Manning, który w 1889 roku doprowadził do honorowego zakończenia strajku londyńskich dołków. Encyklika ta stanowiła fundament społecznej polityki Kościoła katolickiego, określała ona stanowisko Kościoła wobec położenia ludzi pracy oraz wobec kapitalu. W encyklice tej w punkcie 18 stwierdza się m.in., że trudno jest „wymierzyć prawa i obowiązki, którymi powinni być związani bo, ac i proletariusze”, a z drugiej strony trudne położenie ludzi pracujących wykorzystują inni dla własnych celów politycznych. Uważał, że należy szybko i zdecydowanie przysięść z pomocą ludziom pracującym, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji, w trudnym położeniu.

Zmarł 20 lipca 1903 roku. Jego następcą był kardynał Giuseppe Sarto – patriarcha Wenecji, który nie spodziewał się wyboru, jadąc do Rzymu wykupić bilet powrotny do Wenecji. Przybrał imię Piusa X i uznany został za świętego.

utworzenia nowego rządu i nowej Rady Narodowej prof. Grabski (oficjalnie nie należy do żadnej partii politycznej, lecz jest jedną z najbardziej znanych i szanowanych postaci życia politycznego w Polsce) zostaje mianowany wiceprzewodniczącym Rady Narodowej.

Wieści ze Lwowa

Prof. Grabski, który mimo podeszłego wieku i złego stanu zdrowia rozwija dużą aktywność, powrócił właśnie ze Lwowa, gdzie prowadził rozmowy z Rosjanami na temat kłopotliwej i delikatnej sprawy transferu obywateli polskich zamieszkujących Galicję Wschodnią. W związku z tym samym problemem odbył on już kilka podróży do Kijowa, gdzie omawiał z przedstawicielami rządu ukraińskiego sposób, w jaki należałoby transfer ten przeprowadzić.

Prof. Grabski powiedział mi przede wszystkim, że nie ma w Polsce człowieka o zdrowym rozsądku, który by nie uważał, że sprawa granic wschodnich została zatratwiona definitywnie. Jedynie ludzie obłąkami wierzyć mogą w jakąś wojnę ze Związkiem Sowieckim, która zakończyłaby się zwycięstwem i powrotem utraconych ziem do Polski. Nikt na świecie nie wypędy Rosjan z terenów, które zajęli. Jakkolwiek bolesne jest oderwanie ziem, zaludnionych zresztą tylko częściowo przez Polaków, należy spojrzeć prawdzie w oczy i powiedzieć sobie, że chodzi tutaj o decyzję o charakterze definitywnym. Przyjaźń z Rosjanami i bezpieczeństwo, jakie dają obecne granice, kompensują z nadmiarem poniesioną stratę.

W czasie swej podróży do Lwowa, jakieś trzy miesiące temu, prof. Grabski rozmawiał z wieloma przyjaciółmi, którzy oświadczyli mu, że są przeciwni powrotowi do Polski, uważając, że obecność Polaków na ziemiach zaanektowanych przez Rosjan powinna umożliwiać zachowanie charakteru narodowego tych

„Zeszyty Historyczne” nr 93

Dzieje Ambasady RP przy Watykanie

W wychodzących w Paryżu „Zeszytach Historycznych”, a przedrukowywanych w Polsce przez Wydawnictwo „Pomost”, opublikowano interesującą pracę Tadeusza Wyrwy pt. „Likwidacja Ambasady RP przy Watykanie w latach 1958 i 1972”. Ambasada ta powstała w 1919 roku, pierwotnie jako poselstwo, a dopiero po zawarciu konkordatu w 1925 roku, uzyskała rangę ambasady. 24 lipca 1939 roku listy uwierzytelniające złożył Kazimierz Papée, który w czasie wojny reprezentował Polskę walczącą.

Po zakończeniu wojny rząd w Warszawie nie odnowił konkordatu i nie nawiązał stosunków dyplomatycznych z Watykanem, a Watykan nie uznał tego rządu. Nadal istniała Ambasada RP, a ambasador Kazimierz Papée – jako najstarszy wiekiem – pełnił obowiązki dziekana korpusu dyplomatycznego. Tak było do 1958 roku. 20 października 1958 roku papieżem został Angelo Roncalli jako Jan XXIII. W swojej polityce dokonał „otwarcia na Wschód” oraz starał się ustalić zasady współżycia chrześcijan z komunistami. W tym czasie nad Ambasadą RP w Watykanie zawisła groźba likwidacji.

Emigracja polska w Londynie była już podzielona. Jeden jej odcinek tworzyła Tymczasowa Rada Jedności Narodowej z Radą Trzech: gen. Władysławem Anderssem, Tomaszem Arciszewskim i Edwardem Raczyńskim, drugi odcinek „Zamek”, zgrupowany wokół Augusta Zaleskiego. Było też dwóch ministrów spraw zagranicznych: Jan Starzewski związany z Radą Trzech i Aleksander Zawisza związany z „Zamkiem”. Ambasador Kazimierz Papée związany był z ministrem Janem Starzewskim. Przy zmianie papieża należało złożyć listy uwierzytelniające. Kto miał je wystawić i które miały być honorowane? Przy groźbie likwidacji Ambasady RP w Watykanie oba odcinki wystawiły niezbędne dokumenty, ale kardynał Tardini nie bez powodu zapytał o to, które z listów „należałoby uważać za miarodajne?”.

5-6 stycznia 1959 roku „Osservatore Romano” opublikowało komunikat, w którym informowano, że Ambasada RP przy Watykanie pozostaje, ale zmieniony będzie jej tytuł. W marcu 1959 roku ukazały się „Annuario Pontificio”, w których Kazimierz Papée figuruje jako kierownik ambasady, nie ma tam już żadnego ze współpracowników. Taki stan rzeczy pozostał do 1972 roku.

21 czerwca 1963 roku Giovanni Battista Montini został papieżem jako Paweł VI, który kontynuował politykę Jana XXIII wobec państw komunistycznych. 19 października 1972 roku kardynał Villot zawiadomił Kazimierza Papée, że jego kierownictwo Ambasadą RP uznano za zakończone. Tak teraz, jak i w 1958 roku powoływano się na sugestie Episkopatu Polski, czemu kardynał Stefan Wyszyński zaprzeczał. Ale też – jak utrzymuje Tadeusz Wyrwa – 18 sierpnia 1959 roku w Malborku powiedział: „Maryja to jedyny nasz ambasador przy Stolicy św. w Rzymie” – co można różnie rozumieć.

Nr 93 „Zeszytów Historycznych” przynosi ponadto: artykuł Jerzego Polacka o losach oficera łącznikowego AK z walczących we wrześniu 1944 roku Warszawy, który udał się z patrolem na lewy brzeg Wisły, słynnego „Wani” Alfreda Paczkowskiego, rozmowę Jana Ciechanowskiego z gen. Tadeuszem Pęczynskim, Deklarację płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława” z 8 września 1945 roku oraz wiele innych, ciekawych materiałów, jak choćby ocenę sytuacji w Polsce w roku 1945 dokonaną przez ówczesne podziemie, czy stosunek UB do PSL po ucieczce Stanisława Mikołajczyka.

Benedykt Pazik

Dokumenty

Rozmowa z prof. Stanisławem Grabskim

W dniach 4 i 11 lutego 1945 roku w Jalcie na Krymie obradowali nad przyszłością świata po drugiej wojnie światowej Winston Churchill, Franklin Delano Roosevelt i gospodarz spotkania Józef Stalin. W sprawach Polski zdecydowano, że nastąpi w Polsce połączenie „przywódców demokratycznych z samej Polski i Polaków z zagranicy”, zapowiadając jednocześnie przeprowadzenie „możliwie najprędzej wolnych i nieskrępowanych wyborów”, w których udział mogłyby wziąć wszystkie partie demokratyczne i antynazistowskie. W czerwcu 1945 roku w Moskwie bawił Stanisław Mikołajczyk, gdzie spotkał się z przedstawicielami Tymczasowego Rządu RP. W wyniku przeprowadzonych tam rozmów powstał 28 czerwca 1945 roku Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, uznany 5 lipca przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię.

We wrześniu 1945 r. przybył do Warszawy ambasador Włoch – Eugenio Reale.

Urodził się w 1905 roku w Neapolu. Ukończył medycynę. Od 1930 roku był związany z podziemnym ruchem komunistycznym. W 1931 roku został aresztowany a Trybunał Specjalny skazał go na 10 lat więzienia. Zwolniono go w 1937 roku, uciekł do Francji.

Po zajęciu Francji przez Niemców został aresztowany i przekazany Włochom. We Włoszech powrócił do pracy podziemnej i wszedł do podziemnego kierownictwa Włoskiej Partii Komunistycznej. Po wyzwoleniu Włoch był członkiem Dyktoriaatu, który kierował pracą WPK. Został wiceministrem spraw zagranicznych, a następnie mianowany ambasado-

rem – jeszcze Królestwa Włoskiego – w Polsce. Powrócił do Rzymu w lutym 1947 roku. był posłem Konstytuanty, senatorem. W 1956 roku na radzieckiej interwencji na Węgrzech wystąpił z WPK. Jest przywódcą prawego skrzydła Zjednoczonej Partii Socjalistycznej, wydawcą miesięcznika „Corrispondenza Socialista”.

Jego raporty wysyłane z Warszawy ukazały się niedawno nakładem PIW. Poniżej publikujemy raport z 24 października 1945 roku.

Prof. Stanisław Grabski – wiceprzewodniczący Rady Narodowej

Wiceprzewodniczący Rady Narodowej, prof. Stanisław Grabski odwiedził mnie wczoraj w odpowiedzi na wizytę, którą złożyłem mu kilka tygodni temu.

Przed zamachem stanu Piłsudskiego prof. Grabski był kilkakrotnie ministrem, potem, to znaczy podczas dyktatury, wycofał się z życia politycznego, a w 1939 roku we Lwowie został aresztowany przez Rosjan i wywieziony do obozu koncentracyjnego. Uwieczony w 1941 roku na podstawie układu zawartego przez rząd generała Sikorskiego z rządem sowieckim przybywa do Londynu, gdzie zostaje mianowany przewodniczącym Rady Narodowej. Stanowisko to zajmuje aż do uznania rządu warszawskiego przez aliantów i do zlikwidowania w konsekwencji rządu londyńskiego. W związku z układami w Moskwie dotyczącymi

Stosunek państwa polskiego do Kościoła

W czasie rozmowy poruszyliśmy wiele tematów, a między innymi sprawę stosunków między państwem polskim a Kościołem katolickim. Prof. Grabski, który jako minister sprawiedliwości i wyznań przygotowywał w 1924 roku konkordat z Watykanem, jest przekonany, że nawet bez konkordatu stosunki mogą być wznowione i że będą mogły rozwijać się normalnie. Jego zdaniem Stolica Apostolska powinna jednak wystąpić z inicjatywą zbliżenia i powinna uznać rząd warszawski.

Prof. Grabski, który należy do starej rodziny szlacheckiej pochodzącej z XII wieku, sądzi, że rola jego klasy dobiegła końca i że nie posiada ona żadnych możliwości powrotu do wpływu. Naród odbudują klasy nowe: chłopci i robotnicy polscy, którzy natchną życie społeczeństwo, uznając pracę i równość.

**GABINET
ODNOWY
BIOLOGICZNEJ**95-100 ZGIERZ (NOWA
GDYNIA) ul. Chopina 23

tel. 16 36 28

**rewelacyjna
metoda odchudzania**KOMPUTEROWY MASAŻ LIMFATYCZNY
DA CI SZCZUPŁĄ SYLWETKĘ!- ODCHUDZAMY CAŁE CIAŁO, TALIE,
BIODRA, UDA, PLECY, RAMIONAKrem odchudzający jest wcierany metodą masażu
klasycznego

- Prowadzimy dokładne pomiary miejsc odchudzanych
- Gwarantujemy wyszczuplenie sylwetki od 1 do 3 cm po jednym zabiegu i znakomity relaks.
- Zapraszamy na elektrostymulację (ujędrnianie piersi, mięśni)
- Sauna
- Masaż klasyczny
- Solarium – turbo

WYSOKA JAKOŚĆ

KOMUNIKAT

Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej zwraca się z gorącym apelem do mieszkańców Łodzi – osób prywatnych, spółek, firm, przedsiębiorstw o przekazywanie rzeczy (odzieży i obuwia) nowych lub używanych, będących w dobrym stanie w celu dalszego przekazania ich grupie osób potrzebujących – podopiecznych pomocy społecznej.

Za włączenie się w tę akcję serdecznie dziękujemy.

Centralny Magazyn Darów mieści się w Łodzi, ul. Hipoteczna 3/5 (parter) tel. 51-85-54

Czynny w dni powszednie w godz. 9.00 – 15.00

**Dyrekcja
Miejskiego Ośrodka
Pomocy Społecznej**

P.H. VERMONT

zaprasza do swojej hurtowni
i poleca do sprzedaży po atrakcyjnych cenach:

taśmę suwakową importowaną z główkami 2.600 zł/1 mb.

- okulary przeciwsłoneczne i lecznicze ok. 100 wzorów w cenie od 13.000 zł
- galanterię ozdobną dla pań i dziewczynek w cenie od 2.500 zł/szt.
- obuwie damskie, męskie, dziecięce na różne pory roku
- konfekcję damską i męską (swetry, bluzki, spodnie, piżamy)
- regały i stelaże na wyposażenie sklepów i magazynów importowane oraz krajowe.

Duże partie towarów dostarczamy pod wskazany adres.

Zapraszamy i życzymy udanych zakupów
Łódź, ul. Przybyszewskiego 251 tel. 36-80-78

Firma SERTAL posiada w ciągłej sprzedaży

NA RATY!!!



- Pralki, lodówki, zamrażarki
- Telewizory i wideo „Sony”, „Samsung”, „Philips”, „Panasonic”
- Sprzęt gospodarstwa domowego
- Oświetlenie
- Elektronarzędzia, pompy wodne, hydrofony
- I wpłata 20% na 12 rat
- Hurt i detal w firmie „SERTAL” pawilon Łódź, ul. Franciszkańska 99, tel. 57-60-47

W dniu 16.06.1991 r.
redakcja tygodnika
„Odgłosy” oraz
Wydawnictwo
„Westa- Druk”

WIELKI PIKNIK!!!

ZAPRASZAJĄ

wszystkich łodzian na Wielki Piknik, który odbędzie się na stadionie WKS „Orzeł”
od godz. 10.00

W programie artystycznym przewidziano szereg atrakcji, m.in. występ **Tadeusza Drozdy**, ogromnie popularnych zespołów muzycznych z Kielc pod kierownictwem **Marka Strzeszkowskiego**, zespołu rockowego „Klaatu”, zespołu harcerskiego „Krajki” i innych. Przewidziano również pokaz zespołu kaskaderów. W trakcie 8 godzin trwania imprezy można będzie również nauczyć się strzelać z broni krótkiej oraz odbyć śmigłowcem wycieczkę nad Łodzią.

Na stadionie „Orla” zaopatrzyć się we wszystko, co przyda Wam się w czasie urlopowych wojaży, poczynając od samochodu (swoją udział zapowiedziało kilka salonów samochodowych) poprzez sprzęt turystyczny, gospodarstwa domowego i audio-wizualny, aż po artykuły spożywcze i zabawki.

Organizatorzy zapraszają firmy handlowe do ekspozycji swoich towarów. Informacje i zgłoszenia: PH „Rabat”, Łódź, ul. Piotrkowska 94 tel. 32-61-79, fax 32-07-67, tlx 886182.

REKLAMA w „ODGŁOSACH” TO REKLAMA PRZEZ CAŁY TYDZIEŃ!

**Tygodnik „ODGŁOSY” oferuje usługi
w zakresie reklam**

➡ PROMOCYJNE CENY ➡

Reklamy na kolumnie ogłoszeniowej (ceny podstawowe):

6 tys. zł za 1 cm²
cała strona (1000 cm²) – 6 mln zł
minimalna powierzchnia ramki 25 cm²
**ogłoszenia drobne – 3 tys. zł
za słowo**

Reklamy na pierwszej stronie – 50% dodatku (powierzchnia nie większa niż 150 cm²), na innych stronach niż kolumny ogłoszeniowe – 30 % dodatku

Proponujemy także nowy atrakcyjny rodzaj reklamy w formie artykułów pisanych przez naszych dziennikarzy. Rodzaj publikacji, jak też opracowanie graficzne uzgadniamy z kontrahentami.

Koszt tej reklamy:

całostronicowa – 10 mln zł
półstronicowa – 6 mln zł
ćwierćstronicowa – 4 mln zł

Wykonujemy opracowania graficzne reklam – przy reklamie całostronicowej 10% dodatku, pozostałe 25 & dodatku.

Reklamy przyjmowane są w siedzibie redakcji:
Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, XI piętro, pokój 1103, tel. 36- 52-44
oraz w tygodniku „Agora”, Piotrkowska 94 tel. 32-61-79 p. nr 11.
Forma płatności do uzgodnienia.

SOBOTA

8 czerwca
PROGRAM I

7.00 W sobotę rano
7.45 Tydzień na działce
8.15 Piłkarska kadra czeka
8.35 Ziarno
9.00 Wiadomości poranne
9.10 5-10-15
10.05 Jęz. ang. dla dzieci
10.10 IV pielgrzymka papieża Jana Pawła II – spotkanie na Zamku Królewskim w Warszawie z władzami RP
11.40 IV pielgrzymka papieża Jana Pawła II – Te Deum w 200. rocznicę Konstytucji 3 Maja w Bazylice Archidiecezjalnej
13.00 Telewizyjny koncert życzeń
13.30 Z Polski rodem
14.00 Walt Disney przedstawia
15.15 Szkoła pod żaglami
15.45 Msza święta i otwarcie II Synodu Plenarnego w bazylice Najświętszego Serca Jezusowego
18.00 Teleexpress
18.20 Butik
18.50 Z kamerą wśród zwierząt
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Program muzyczny
20.45 IV pielgrzymka papieża Jana Pawła II – spotkanie ze światem kultury w Teatrze Wielkim (Warszawa)
21.45 Inni ludzie
22.15 Sportowa sobota
22.45 8 dzień pielgrzymki papieża Jana Pawła II
23.00 Wiadomości wieczorne
23.20 „Orka” – film fabularny produkcji USA

PROGRAM II

10.00 CNN
10.15 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.40 „Sekretny dziennik Adriana Mole” – ser. prod. ang.
11.05 Tacy sami – program w języku migowym
11.25 Klub Yuppies
12.40 „Santa Barbara”
14.10 Camerata 2
14.40 Ze wszystkich stron
15.10 Program dnia
15.15 Zwierzęta świata
15.45 Klub Profesora Tutki
16.10 Dookoła świata
16.40 Jan Lechoń
17.00 Studio tajemnic
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Wielka gra
19.30 Program na życzenie
20.00 „Długa droga do domu” – film fabularny prod. angielskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 „Stary człowiek i morze” – film fabularny prod. USA
23.15 CNN

NIEDZIELA

9 czerwca
PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Kraj za miastem
7.55 Po gospodarsku
8.10 Od niedzieli do niedzieli
8.55 Program dnia
9.00 Teleranek oraz film „Kamienna tajemnica” (8)
10.20 Język angielski dla dzieci
10.30 IV pielgrzymka papieża Jana Pawła II – msza św. z homilią (Agrykola – Warszawa)
13.00 Teatr dla dzieci „Nieżyłke przygody doktora Dolittle i jego przyjaciół”
13.55 Magazyn Morze
14.15 Telewizyjny koncert życzeń
14.45 Śpiewać każdy może
15.25 Z archiwum TTV – Karol Gjellerup „Młyn na wzgórzu”
16.55 Telewizjer
17.15 Teleexpress
17.30 Reportaż
17.45 IV pielgrzymka papieża Jana Pawła II – ceremonia pożegnania na lotnisku Okęcie w Warszawie
18.15 Studio Sport
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 Drzewo pachnące imbi-

rem” (4 – ost.) – serial obyczajowy produkcji angielskiej
21.05 7 dni – świat
21.35 Sportowa niedziela
22.05 9 dzień pielgrzymki papieża Jana Pawła II
22.20 Wiadomości wieczorne
22.30 Círculo regionalne prezentuje

PROGRAM II

11.20 Wspólnota w kulturze
11.40 Seans filmowy
12.30 XI Łódzkie Spotkania Baletowe
12.50 Gość Dwójki
13.00 PKF
13.10 100 pytań do...
13.55 Kino rodzinne
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni
15.45 Modlitewne spotkania ekumeniczne w kościele ewangelicko-augsburskim pod wezwaniem św. Trójcy w Warszawie
16.30 Godzina z Jerzym Zelnikiem
17.25 Program dnia
17.30 Bliżej świata
18.30 Za chwilę dalszy ciąg programu
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Galeria Dwójki
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego
21.00 Wrocław na antenie II
21.30 Panorama dnia
21.45 „Miłość matki” (2)
22.35 Teatr „Stu” przedstawia

PONIEDZIAŁEK

10 czerwca
PROGRAM I

13.15 Aktualności telegazety
13.30 Spotkania z literaturą
14.05 Agroszkoła
14.35 Czysta i dźwięk
15.05 Telewizja edukacyjna zaprasza
15.30 Uniwer. naucz.
15.55 Program dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-top
16.20 Luz
17.15 Teleexpress
17.35 Encyklopedia II wojny światowej
18.00 10 minut
18.10 Kupić nie kupię
18.30 „Alf” (12) – serial
18.55 Świat w oczach Lema
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 TTV Kazimierz Karabasz „W naszym domu”
21.30 Petenci
21.55 Recital zespołu „White Heart”
22.30 Wiadomości wieczorne
22.45 Film dokumentalny
23.25 BBC – TV Europe

PROGRAM II

16.45 Powitanie
17.00 Czas akademicki – katolicki magazyn młodzieżowy
17.30 „Kusza” (21) – „Lotus” – serial produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd kronik
19.00 Ojczyzna-polszczyzna – Język-technika
19.15 Zapraszamy do Dwójki
19.30 Roman Lasocki przedstawia: Jakub Trawkowski (wielonczela)
20.00 Publicystyka
20.30 „Zek” – film dokumentalny o Bogusławie Baju
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 „Wszystkim, których kochałem” (6) – serial produkcji USA
22.50 Rozmowy o cierpieniu
23.05 CNN

WTOREK

11 czerwca
PROGRAM I

11.25 Giełda pracy
11.45 Aktualności telegazety
12.00 Wokół nas
12.30 W Europie nowożytniej
13.00 Chemia
13.30 Bracia Niemcewscy
14.05 Agroszkoła
14.35 Sezam
15.05 „Jedwabny szlak”
15.55 Program dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-top
16.20 Tik-tak
16.50 Kino Tik-taka

17.15 Teleexpress
17.35 Laboratorium
18.00 10 minut
19.10 Film dokumentalny
19.40 W sejmie i senacie
19.00 Skarbonka J. Kuronia
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Rozmowy o miłości” – film obycz. prod. pol.
21.35 Listy o gospodarce
22.05 Telemuzek
22.45 Wiadomości wieczorne
23.00 Rozmowy intymne

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język niemiecki
8.40 „Santa Barbara” – serial produkcji USA
9.25 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 „Nova” (4) – serial dokumentalny produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 „Cień silnej władzy”
19.30 „Schwabisch Hall” – film dokumentalny Franciszka Kuduka
20.00 Non stop kolor – magazyn
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.20 Magazyn przechodnia
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport + kronika wyścigu kolarskiego „Solidarności”
22.00 Akademia polskiego filmu: „Niedaleko Warszawy” – dramat sensacyjny
23.50 CNN

ŚRODA

12 czerwca
PROGRAM I

13.30 Spotkania z literaturą
14.05 Agroszkoła
14.35 Ekonomia dla rolnika
14.45 Chemia bez tajemnic
15.05 Świat roślin
15.30 Uniwer. naucz.
15.55 Program dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-top
16.20 Kino nastolatków
16.45 Sami o sobie
17.15 Teleexpress
17.35 System
18.00 10 minut
18.10 Klinika zdrowego człowieka
18.30 Jakim prawem?
19.00 Welcome to Poland – program o małym i dużym biznesie w Polsce
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Dynastia” – serial
20.55 Program rozrywkowy
22.25 60/90 magazyn
22.55 Wiadomości wieczorne
23.10 Rozmowy w „Res publice”

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język niemiecki
8.40 „Czterdziestolatek” (19) – „Z dala od ludzi, czyli coś nowego” – serial TP
9.40 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 „Zmiennicy” (15) – „Nasz najdroższy” – serial TP
18.00 Program lokalny
18.30 „M.A.S.H.” – serial prod. USA
19.00 Rebusy – teleturniej
19.30 Koncert łódzkiej orkiestry kameralnej „Pro Musica”
20.00 Co czytać?
20.45 Ostatnia karta – Jan Skala
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie” – serial TP
22.15 Sport + kronika wyścigu kolarskiego „Solidarności”
22.30 Telewizja nocą
23.25 CNN

CZWARTEK

13 czerwca
PROGRAM I

11.55 Aktualności telegazety
12.00 Serial dok. prod. USA
12.30 Z naszych dziejów „Piękno baroku”
13.00 Fizyka
13.30 Czysta i dźwięk

14.05 Agroszkoła
14.35 Ziemia – nasza planeta
15.05 Film dokumentalny
15.55 Program dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-top
16.20 Kwant
17.15 Teleexpress
17.30 Prawo prawa
17.45 Podróże na kresy
18.10 Film dokumentalny
18.50 Magazyn katolicki
18.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 „Bergerac” (3) – „Trucizna” – ser. krym.
21.00 Pegaz
21.30 Program publicystyczny
22.30 Wiadomości wieczorne
22.45 BBC – TV Europe

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język niemiecki
8.40 „W labiryncie” – serial TP (powtórzenie)
9.10 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 Teleklinik dr Anatolija Kaspirowskiego
17.30 Magazyn ekologiczny
18.00 Program lokalny
18.30 „Cudowne lata” – serial prod. USA (powtórzenie)
19.00 Magazyn 102 – Adrian Biedrzyńska
19.30 „Twarze” – dilm dokumentalny
20.00 Studio sport – 2 + 4 czyli sporty motorowe
21.00 Express reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport + kronika wyścigu kolarskiego „Solidarności”
22.00 Studio TV Dwójki – Václav Havel „Wernisaż”
22.45 Publicystyka kulturalna
23.15 CNN

PIĄTEK

14 czerwca
PROGRAM I

15.00 Człowiek i środowisko
15.30 Galerie świata
14.05 Agroszkoła
14.35 Film dokumentalny
15.05 Czysta i dźwięk
15.30 Przyszłość zaczyna się w szkole
15.55 Program dnia
16.00 Wiadomości popołudniowe
16.10 Video-top
16.20 Cojak
16.45 Ciuchcia
17.05 Język angielski dla dzieci
17.15 Teleexpress
17.35 Raport
18.00 10 minut
18.10 „Chłopi” (11)
19.00 Od Kapitału do kapitału
19.15 Bouli
19.30 Wiadomości
20.05 „Sprawy rodzinne”
21.40 Zespół „Zapis” przedstawia...
22.20 Weekend w Jedynce
22.30 Wiadomości wieczorne
22.45 Kinomania
23.15 Program rozrywkowy
24.00 BBC – TV Europe

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język niemiecki
8.40 „Santa Barbara” – serial produkcji USA
9.25 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 „Nigdy nie mów żegnaj” – film fabularny produkcji USA (r. prod. 1987–45 min.) reż. Susan Rohrer – wyk.: Junc. Lockhart, Joseph Lambie
17.50 Za kierownicą
18.00–21.30 Program regionalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport + kronika wyścigu kolarskiego „Solidarności”
21.55 „Lekarze bez fartuchów” (4) – serial produkcji angielskiej
22.45 Obrazy, słowa, dźwięki
23.45 CNN
24.00 Noc z anteną 5 – program nocny z Wrocławia

Sprzedam samolot
PZL-110
„KOLIBER”
tel. 74-55-30
Łódź

YAGRAF

USŁUGI POLIGRAFICZNE WYKONUJE

- metki, etykiety, wizytówki, zaproszenia, listowniki na papierach, kartonach oraz papierach i foliach samoprzylepnych (JAC)
- nadruki na torbach reklamowych, opakowaniach z kartonu i tworzyw sztucznych
- nadruki na galanterii reklamowej (zapalniczki, breloki, długopisy)
- oraz usługi projektowe, usługi w zakresie fotografii użytkowej, technik fotograficznych, filmowych, telewizyjnych

ZAPEWNIAMY

- wysoką jakość
- krótkie terminy
- konkurencyjne ceny

90-636 Łódź, ul. 22 Lipca 49 Telefony: 32-00-03 lub wieczorem: 32-00-03, 32-27-88, 57-28-29

Zakład Usług Poligraficznych „WISS”

Gałkówek ul. Mickiewicza 22 ☎ Łódź 84-44-83

POLECA

usługi w zakresie:

druków reklamowych • firmowych • etykiet • wizytówek • opakowań • prac artystycznych, wg projektów własnych i powierzonych, do formatu B2.

Również małe nakłady

ZAPRASZAMY

BESTSELLER – o resztę pytaj w kioskach
Urodziłeś się po wojnie? Jesteś człowiekiem twórczym? Interujesz się sztuką, polityką, biznesem?

BESTSELLER to pismo Twojej generacji.

BESTSELLER to nowy język, tlen dla mózgu i zamach na Twoje serce.

BESTSELLER to pomysł na postkomunistyczny styl życia. Z nami możesz zacząć życie od nowa, bo to ma być pismo o zaczynaniu od nowa. O tym, że życie powinno i może być niezwykle. O ludziach, którzy nigdy nie mogli się zestarzeć. O tym, że najważniejsza jest miłość... i talent.





● Kto po Sławomirze Pietrasie obejmie Teatr Wielki w Łodzi? Wielu przypuszcza, że może to być Bogusław Kaczyński. Wojewoda Waldemar Bohdanowicz ujawnił, że wśród 4 osób kandydujących do tego stanowiska tego nazwiska nie ma. Maria Hoffman z Łódzkiej Rozgłośni PR zapytała Sławomira Pietrasa, co on sądzi o ewentualnym dyktowaniu Bogusława Kaczyńskiego? Nie miałby nic przeciwko temu, ale najlepiej zapytać bezpośrednio B.K. czy ma taki zamiar. Maria Hoffman kilkakrotnie telefonowała do Warszawy, ale telefon milczał. Być może jest wyłączony. Taką praktykę podobno stosuje teraz wielu ludzi o znanych nazwiskach.

● W Łodzi ma być budowany pomnik Józefa Piłsudskiego. Ogłoszono numer konta, na które można wpłacać pieniądze. W Sieradzu poradono sobie z tym znacznie prościej. Z obeliska zwycięstwa zdemontowano orły, tablice marmurowe odwrócono na drugą stronę. Złote litery głoszą, że jest to obelisk pamięci Józefa Piłsudskiego. Ciekawi mogą zająrzeć pod tablicę, które ściśle nie przylegają do betonowego słupa i odczytać, co tam poprzednio było napisane. Proste, tanie i ciekawe.

● Na sesji Rady Miejskiej w Łodzi, tuż przed Dniem Dziecka, zdecydowano o likwidacji ponad 40 przedszkoli. Podczas dyskusji radny Tadeusz Grabowski – konserwatysta – powiedział, że nastąpił „smutny objaw odwracania się od mas”. Wiceprezydent Elżbieta Hibner zarzuciła mu demagogię.

● Na sesji Rady Miejskiej 28 maja pojawił się dawno nie widziany na obradach radny Marek Markiewicz – ongiś szef Łódzkiego Ośrodka TVP, obecnie wiceprezes Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. Łódzka telewizja nie uczciła tego wydarzenia stosownym reportażem, co zdziwiło wyborców. Podobnie jak nadzwyczajna łagodność, znanej z krytycyzmu i zadziorności, reporterki telewizyjnej Małgorzaty Ziętkiewicz w sprawozdaniu z tej sesji. Czyżby wpłynęła na to obecność szefa z centrali?

● Albin Markiewicz (tylko zbieżność nazwisk) był prezesem KS „Anilana”. Na konferencji prasowej, zorganizowanej przez ten klub, ujawniono, że prezes nie wpłacił do klubowej kasy 10 000 dolarów, które otrzymał za transfer zawodnika do Belgii. Stał się przez to bohaterem artykułu Krzysztofa Szychalskiego opublikowanego w „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 17 z 28.04.1991). KS „Anilana” pieniądze za odzyskała, nawet z nadkładem, ale domagała się jeszcze odsetek. „Odgłosy” postanowiły dać Albinowi Markiewiczowi szansę przedstawienia jego poglądu na tę sprawę. Obiecał odezwać się. Zekaliśmy, przypominaliśmy się. Bez skutku. Zadzwoiliśmy do KS „Anilana” z pytaniem, jak wygląda sprawa odsetek? Dowiedzieliśmy się, że Albin Markiewicz i wiceprezes klubu Piotr Gałązka zawarli porozumienie, że nie będą udzielane prasie żadne informacje w tej sprawie. Czy takie porozumienie jest zgodne z artykułami 4, 6 i 44 obowiązującego „Prawa prasowego”.

● Mecz piłki nożnej ŁKS z GKS oglądało niespełna tysiąc widzów. Puste trybuny są również na innych meczach. Jak to się zatem dzieje, że w fabrykach produkujących nietrafione towary trzeba zwalniać ludzi, a piłkarze grają dla nikogo? Kluby widać prosperują i mają z czego im płacić za mecze, które nikogo nie interesują.

● Policjanci protestują. W mieście niespokojnie. Poniszczone taksówki, jedna spalona. Policja przynajmniej, że nie jest w stanie zapewnić łodzianom należytej opieki i bezpieczeństwa. Tymczasem przewodniczący Rady Miejskiej – radny Andrzej Ostojka-Owsiński siada przed kamerą łódzkiej telewizji i przy pomocy statystyki usiłuje mówić ludziom, że jest lepiej, bo rośnie wykrywalność przestępstw. Nie wątpimy. Przy pomocy statystyki jednak można sobie łatwo zapewnić dobre samopoczucie, które nie ma nic wspólnego z tym, z czym ludzie stykają się codziennie.

● Niedawno posadziłem posła Stefana Niesiołowskiego, że odstawił rower do kąta. Odwołujemy to posadzenie. Dwukrotnie już widzieliśmy posła pracującego pedałowującego na rowerze w okolicach dworca Łódź-Fabryczna.

● Uczeń jednej ze szkół podstawowych na Górnej z dumą zwrócił się kolegom, że uprał braciśka. Wrzucił dwuletniego brata do wirówki. Młodek ma złamaną rękę i nóżkę. Czyżby był to wpływ reklamy telewizyjnej, kiedy to do wirówki wrzuca się czarne pudło, a wyjmując białe?

● Rosną zastępy oszustów i kombinatorów. W samoobsługowych stacjach benzynowych skarżą się, że kierowcy samochodów i motocykli nalewają sobie paliwa do pełna i uciekają. Po domach chodzą oszuści, którzy zbierają pieniądze na różne cele. Ostatnio zbierają na rozwój Łódzkiego Ośrodka TVP. Rekord oszukańczej pomysłowości pobili jednak nieznani sprawcy, którzy w dwa dni rozebrali przeznaczony na przetarg magazyn „Wólczańki” przy ul. Lipowej 59. Polak, jak chce, to wszystko potrafi!

● Na ulicy Piotrkowskiej w jednej ze sklepów witrin towar reklamowała ładna dziewczyna. Przechodzący panowie mieli pretensje, że jest ona ubrana. Wyjaśniamy nieporozumienie. W Europie, do której tak gwałtownie zmierzamy, rozebrane panie występują w zupełnie innych witrinach. Tylko to się u nas nie pokaże!

B.M.

Na marginesie „Raportu w sprawie „Dziennika Łódzkiego”

„Nie podoba się – to na dworzec!” Taką właśnie niekonwencjonalną propozycję złożył były wicedyrektor łódzkiej telewizji dziennikarce, które osiemnastu się zakwestionować poprawki szefa, wniesione do jej materiału przygotowanego na antenę. Należy tu wyjaśnić, iż wysłanie na stację nieposłusznego koleżankę, aby tam zarabiała na życie trudniąc się najstarszą profesją świata, nie jest codziennym sposobem rozstrzygania sporów w redakcjach. Stać na to jedynie wyjątkowych chłamu – m.in. dlatego przypominam tę zenującą scenę.

W „Odgłosach” z 27 maja przeczytałem „Raport w sprawie „Dziennika Łódzkiego”, sporządzony przez Fundację Wolnej Prasy Łódzkiej, a będący de facto obroną zawieszono redaktora „Dziennika”, Konrada Turowskiego – i nie mam wątpliwości czyje to pióro. Oczywiście – Turowskiego, który pod niebiosami wynosi swoje rzekome zasługi i wściekle atakuje 17-osobową grupę z dawnego zespołu „DL”, która wystąpiła przeciwko dalszej degradacji pisma i niszczeniu ludzi mających za sobą długie lata w tej redakcji. Wolność prasy niektórzy rozumieją teraz tak, iż dozwolone jest pisanie wszystkiego, co tylko komu ślina na język przyniesie. Sądzę, że cała ta kampania pomoże Turowskiemu tyle, co umarłemu kadzidło. Tym, co rozdzaja posady, powinna ona nareszcie uświadomić, że nie ma sensu powtarzanie tych samych błędów, a takimi

Nie podoba się – na dworzec!!

błędami było niewątpliwie sprezentowanie mu najpierw wysokiego stanowiska w telewizji (gdy po kilku miesiącach odchodził stamtąd w niesławie, zespół był pijany ze szczęścia), a później powierzenie redagowania „Dziennika Łódzkiego”, z czego gazeta do dziś nie może się otrząsnąć. Nowe czasy, a polityka kadrowa taka sama jak dawniej: w pierwszym posadzimy na stołkach swoich wybrańców – a potem się zobaczy.

Nie mam zamiaru polemizować z „raportem”, bo jest to tekst rozdyktowany miarę, zamulający umysł czytelnika, obraźliwy, pełen pomówień, a gdy już do tyka faktów – jawnie fałszujący rzeczywistość (jak choćby uwagi o rozwoju „Dziennika” za kadencji Turowskiego; było już w tej sprawie uczciwe wyjaśnienie na łamach „DL”, a zresztą „Dziennik” zawsze był gazetą popularną, ludzie chętnie się w nim ogłaszali – pracowaliśmy na to przez lata). Wydaje mi się, że ciekawszemu będzie nakreślenie sylwetki Turowskiego; czytelnik zorientuje się z kim przyjemność i zrozumienie dla czego wielu z nas nie chciało i nie mogło z nim pracować.

Do dziś jeszcze mówi się w łódzkim środowisku dziennikarskim jak to Turowski włączył się do marcowej rozróby w 1968 roku. Pisząc wypowiedzi łodzian do uroczystego numeru 1-majowego w „Expressie Ilustrowanym”, dał m.in. parę zdań wspomnień emerytowanej przadki: „Każdego 1 Maja w latach międzywojennych już wczesnym rankiem gromadziły się oddziały granatowej policji na terenie pobliskiej wytwórni wody sodowej należącej do Lesmana. Właściciel używał policjantom gościny. Obszernie dziedzińczył służąc za rodzaj bazy wypadowej przeciwko robotnikom, którzy zbierali się na Wodnym Rynku. Z zakładu Lesmana policjanci spokojnie obserwowali rosnący tłum robotników przybyszających z transparentami, a gdy uformowany pochód wyruszał w kierunku ul. Piotrkowskiej, z tyłu napadali na manifestujących...”

A może podpatrywać mistrzów?

Z umiarkowanym uznaniem przyjąłem pojawienie się „Odgłosów” na rynku, choć żałuję, że nie mogłem ich kupić w kiosku „RUCH”. Moim zdaniem powinny być i tu, i tu. Dawni czytelnicy „Odgłosów” przyzwyczaili się szukać ich w kioskach i dziś mają trochę kłopotów z odnalezieniem sprzedawców pisma. Poza tym tygodnik ukazywał się w środy, a teraz spóźnia się i to też wywołuje spore zamieszanie. Mam taką nadzieję, że to się zapewne zmieni, dlatego nie wypominam Wam różnych błędów, jakich w piśmie nie brakowało. Początki są trudne i trzeba to zrozumieć.

Zaintygował mnie natomiast raport Fundacji Wolnej Prasy Łódzkiej. Niezależna prasa – to piękna idea, choć tak na dobrą sprawę do końca nie do zrealizowania. Ale starać się trzeba, tym usilniej, im mocniej tkwi się w okowach strachu. Obserwując prasę z pozycji czytelnika, dostrzegam ciągle jeszcze – mimo licznych starań – uparte trzymanie się starego modelu. Wprawdzie kilka tytułów podkreśla swoją niezależność, ale deklaracje te nie zawsze pokrywają się z rzeczywistością tego, co oferuje się czytelnikowi. Niezależność można bowiem rozumieć w różnoraki sposób i tak się też dzieje. Są też ludzie, którzy uważają, że absolutnej niezależności nie ma i trudno im odmówić racji.

Na początek trzeba chyba odrzucić naiwną interpretację pojęcia niezależności prasy, polegającą na tym, że drukuje się wszystko, co tylko przyniosą autorzy. Jest to niemożliwe, bowiem jakieś kryteria muszą obowiązywać i trzeba na przykład kierować się pewnym poziomem intelektualnej zawartości tekstu, jego zgodnością z obowiązującym prawem. A to może narazić redagujących na zarzut stronniczości i zaleźności. Opowiadał mi pewien redaktor, jak odwiedził go autor dzieł polskiej skarbowości osnutej na tle przeżyć własnych, a dzieło to liczyło 700 stron maszynopisu. Gdy spotkał się z odmową, zarzucił redaktorowi brak niezależności i samodzielności. Była i tak.

Odnoszę takie wrażenie, że polskiej prasie nie tyle brak niezależności, do której wszyscy tęsknią, ile brak jej jasno sprecyzowanej zaleźności. Gdy biorę do ręki

Czytelnicy piszą

W rubryce „Czytelnicy piszą” redakcja zamieszcza teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Turowski, bardzo z siebie dumny, przyniósł materiał do ówczesnego red. naczelnego, lecz ten zdecydował, że skreśli całą tę wypowiedź, ponieważ była ona brutalnym atakiem na naszego kolegę redakcyjnego, Bolesława Lesmana – zresztą Żyda. Z niesmaką czytaliśmy rzecz napisaną wyraźnie na życzenie specjalnego ośrodka dyspozycyjnego marcowej hecy, ale Turowski dopił swego. Zabrał swój parszywy utwór i dobrze przez siebie wydeptaną ścieżką udał się do Komitetu Łódzkiego PZPR. Wkrótce nadeszła stamtąd kategoriyczna dyrektywa: „Wydrukować bez skrótów!” A ponieważ były to czasy, gdy dzieci odpowiadały za prawdziwe i urojenie winy swoich rodziców – naszemu koleżance zaszkodziło opisanie jak to jego ojciec, przedwojenny fabrykant wody sodowej (miał zdaje się rolę i dwa konie), „gościł” granatową policję i w konsekwencji Bolesław L. musiał pożegnać się z zawodem, a zaraz potem wyjechał z kraju. Tak

nie. Choć szybko podpisał, co mu odpowiednie władze dały do podpisania, nie mógł wrócić do „Dziennika”; jeśli dobrze wiem, znalazł zatrudnienie w „Kurierze Polskim”, był też chyba na granicy – pojawił się dopiero w 1989 r. w telewizji, ale długo nie zagrzął tam miejsca. Przeszkodą był jego nie nazbyt cudowny charakter, a także brak kwalifikacji. Tym bardziej zaskakujące było wprowadzenie go do „Dziennika Łódzkiego” w połowie sierpnia 1990. Przyszedł do nas z wyraznym, wcale nie ukrywającym nastawieniem wykończenia starego zespołu. Zaczęły się szykany, odrzucanie tekstów składanych do druku, kłasiwe uwagi w rodzaju: „to niech się pan zwolni!” Z reguły materiały dziennikarskie były w jego ocenie (przepraszam, ale to cytuję) „do dupy”, zespół był „zasrany”. Pewnego razu jedna z koleżanek oddała Turowskiemu dwa teksty, a potem przyszła dowiedzieć się jaki jest ich los. Odbił się następujący dialog: – To gówno to niech pani sobie

oto towarzyszu Turowski zaakcentował swój udział w oczyszczaniu szeregów z rzekomych syjonistów. Miał wielką przyjemność niszczyć człowieka, co mu zostało do dzisiaj.

W kilka lat później został zatrudniony w „Dzienniku Łódzkim”, bo w „Expressie” grunt palił mi się już pod nogami i przygotowanie dla niego zwolnienie z pracy za notoryczne nierobstwo. Niestety, po krótkim okresie większej aktywności, znowu dało znać o sobie jego lenistwo, więc w 1980 roku postanowił zabrać się z inną wycieczką. Bardzo zabiegając o przewodniczenie zakładowej „Solidarności”, osiągnął cel, lecz i na tym polu nie miał specjalnych sukcesów, bo choć sympatyków rodzącego się ruchu było wielu, osoba prezesa budziła w nas pewną rezerwę, tak że do „Solidarności” wstąpił w większości pracownicy obsługi, a więc kierowcy, maszyniści, gońcy.

Nie można jednakże pominąć niewątpliwego osiągnięcia Turowskiego. Mianowicie remontując toaletę w „Dzienniku”, postawiono nowe kabiny – niestety, trochę za ciasne. Turowski, mając ogólne poparcie, odważnie wystąpił do administracji o powiększenie kabin i wykonano to bez szemrania. Pamiętam też inne zdarzenie, raczej jednak ośmieszające prezesa. W ciężkich czasach (był rok 1981) nasza koleżanka załatwiła w fabryce trochę szamponu do mycia włosów. Kłopot był w tym, że szampon dostarczony nam w beczce. Ustaliliśmy, że każdy przyniesie jakieś naczynie, pójdziemy do redakcyjnego archiwum – dosyć zagraconego i rzadko sprzątanego – i tam się będzie rozlewać. Prezes Turowski zaoponował: myk! zdajna się zabrudzi – oświadczył stanowczo – więc szampon rozlewać się będzie w garażu.

Był ziąb jak cholera, ludzie wyskoczyli do garażu ubrani „do figury” i kilka osób dostało grypy. No cóż, nie ma rewolucji bez ofiar.

Stan wojenny obszedł się z red. Turowskim okrut-

zabierze – mówi naczelny redaktor. – A to drugie gówno? – pyta autorka, dostrajając się do poziomu szefa. – To drugie gówno też.

Piszę to z zazenowaniem, ale tak właśnie było. Jednym dał wymówienia, drugich zmusił do odejścia z zespołu (ktos, tłumacząc swoją decyzję, powiedział, że mu duszno, drugi – że nie odpowiada mu linia gazety, itd.), jeszcze innych wpędził w chorobę. Gazeta z dnia na dzień była gorsza, nie było w niej nic oprócz ogłoszeń. Nawet jeśli zdarzały się ciekawe wiadomości, to następnego dnia trzeba było zamieścić sprostowanie. Tak bywa gdy nie ma się koncepcji redagowania gazety, gdy usiłuje się to robić nie głową i piórem, ale siekierą. Nic dziwnego, że kiedyś nazwano Turowskiego redaktorem Kałaznikowem, ktoś inny przyrównał go do Nikodema Dyzmy (oczywiście w wydaniu kieszonkowym), dla mnie to jednoosobowy pluton egzekucyjny.

Zrobiono mu krzywdę, rozbudzając jego ambicje do k. zrowania redakcją. Przecież to nieporozumienie!

Przed laty w „Expressie” poleciłem Turowskiemu, aby napisał o przygotowaniach do kręcenia „Potopu”. Film zapowiadał się atrakcyjnie, więc warto było się tym zająć, a akurat rozchorował się ktoś z dziennikarzy piszących o kinie. Nowy autor przemysłał moją propozycję i następnego dnia stawia mi pytanie o... główne postacie występujące w „Potopie”. Zdebiłem. Okazało się, że człowiek z maturą i bodaj po roku spędzonym na WUML-u, nigdy nie czytał „Trylogii” Sienkiewicza!

Dawal wtedy i daje do dziś liczne dowody ignorancji. Dlatego uważam, iż i on sam, i Fundacja Wolnej Prasy Łódzkiej (przepiękna nazwa, swoją drogą), powinni dać sobie spokój i zaprzestać starań o przywrócenie Turowskiego na eksponowaną posadę. Starczy tych szkód, których narobił.

Jerzy Szelewski

mi”, zatem obowiązkiem redaktora jest popierać ludzi zdolnych. Zresztą w marcu 1932 roku grupa „Żagary” odeszła do propolskiego „Kuniera Wileńskiego”. I Stanisław Cat Mackiewicz miał odwagę przyznać, że była to jego klęska. Nie, że ich przygar-

Można chyba na podstawie tego przykładu pokusić się o stwierdzenie, że niezależność – to nie wyrzekanie się swoich poglądów i koniunkturalizm, służenie każdemu panu, który silniejszy i więcej daje, ale w imię własnych poglądów umiejętność broniącej prawdy, dochodzenia prawdy, posługiwanie się pełnym zestawem argumentów, faktów i sądów, a także szacunek dla partnera-polemisty. Gdy czytamy niektóre nasze polemiki, płakam mi się chce. To nieustannie licytowanie się, kto szybciej się zorientował i wypiał na komuś, a komu zabrakło orientacji, kto z kim był związany i jak często biegał albo na ulicę Tadeusza Kościuszki, gdzie był komitet partyjny, albo na ulicę Lutemiejską, gdzie była siedziba SB, kim był czyj ojciec, czy matka i to nie z zawodu, ale pochodzenia. Aluzje, aluzjki, podszyptychawki, pomówienia, bo nawet nie pomówienia. Wszystko to na granicy sądowej rozprawy, a nie intelektualnej walki ludzi o różnych punktach widzenia. I domyślam się, że ludziom bardziej chodzi o pieniądze niż o... prawdę!

Wzdychałem wtedy do dawnych lat, gdy w szranki polemiczne stawali mistrzowie słowa, a ich potyczki kończyły się niekiedy prawdziwymi pojedynkami, gdy miara została przebrana. Taki na przykład pojedynek Artura Chojackiego, pisującego w „Gazecie Warszawskiej” z Melchioriem Wańkowiczem, który zakończył się raną Artura Chojackiego i gratulacjami Jana Stypułkowskiego: „Wzruszając świętego strachu!”

Zamiast tworzyć nowe mity, czas najwyższy zacząć się uczyć od tych, którzy mieli coś do powiedzenia, bowiem rację miał mistrz Cat, że „Polska wypełniona jest miernotami”. Tylko, czy miernota może się czegoś nauczyć?

Kazimierz Latczyn

(Adres do wiadomości redakcji)

Jedno danie Anny-Marii

Tabliczka mnożenia

Mama! – oświadczył syn niezwykle zadecydowanym tonem – *musisz mi podwyższyć moją miesięczniwkę!*

Konsumowaliśmy właśnie pyszną zalewajkę z kielbasianą wkładką i omal się nie zadławiłam kartoflami (bo plasterki zwyczajnej uprzednio podsmażonej z cebulką podgotowałam dla smaku razem z zupą, a potem je pracowicie wyłowiliśmy wszystkie do talerza syna, więc kielbasą zadławić się nie mogłam) – tak zaskoczyły mnie i to żądanie, i ten ton syna. Krztusząc się pomyślałam, że nigdy dotąd nie stawiał mi żadnych warunków placowych, w pełnej pokorze i z głębokim zrozumieniem naszej wzajemnej sytuacji domowej przyjmował wypłatę w kwocie dwudziestu tysięcy. Nigdy też nie prosił ani o pożyczkę przed pierwszym, ani choćby o zaliczkę. Przy reszcie nie kręcił, oddawał co do grosza; a ewentualne (i muszę przyznać, że sporadyczne) okruciny mojej szczodrości odrzucał bez wahania: nie, nie, a po co mi ten patol? Nie potrzebuję.

– *No, nie udawaj, że się krztusisz!* – syn patrzył bez współczucia, nie zerwał się też z krzesła, żeby mnie wałnąć przez plecy – *Dasz wyrównanie za maj i dopłacisz do czerwcowki. Razem czterdzieści.*

Zakrztusiłabym się po raz drugi, ale na szczęście, nie miałam czym, bo kartofel udało mi się przełknąć.

– *I dotąd, dopóki ci znowu na mnie nie podwyższą, będziesz wypłacała po czterdzieści miesięcznie – dokończył twardo swoje ultimatum.*

– *O, Boże, co ci?*

– *U mnie w porządku. Ale więcej nie dam się wpuścić w maliny. Tak człowieka wykiwać...*

tu głos mu się lekko załamał – *nawet nie powiedział, że aż tyle na człowieka płaci.*

Pogubiłam się kompletnie. O czym on plecie, ten mój, taki już cudownie duży syn? Który w ciągu ostatnich czterech miesięcy urosł dokładnie o całe dziewięć centymetrów? Dopiero co oglądałam czubek jego ciemnej łepetyny, a tu nagle – to on na mnie z góry spoziera. Co za radość, duma – syna będę miała wysokiego, zdrowego, mocnego; więc co mi tam! a niech wyrasta z tych cholemych spodni nawet i raz na dwa tygodnie! Siadę do maszyny zwanej Łucznik, machnę spodnie w trymiga. Butów już nie mam, buty to mu w ciągu tej jednej, ciągle nie dokończonych ani przez przyrodę, ani kalendarz wiosny, kupowałam dwukrotnie, a i teraz widzę, że na wakacje trzeba kolejną parę, bo on coś tak dziwnie te swoje kopyta w tych niedawno kupionych adidasach stawia. Ale co tam głupie adidasy! W porównaniu z wygosparowaniem forsy na wakacje to jakby mały pryszcz, pestka, jedno piwko: siadę do maszyny zwanej Erika, wystukam w nockę dodatkowy materiał do Odgłosów, zarobię na adidasy. Niestety, na dwa miesiące wakacji dla syna nie zdołam wystukać nawet przez wszystkie nocki dzielące mnie od pierwszego lipca. Mus kombinować inaczej. Coś sprzedać po prostu.

W ubiegłym roku problem wakacyjny obskoczyłam dwoma fotelikami. Stareńkie one były, z epoki, rzeźbione w zwierzątka, kwiatki, motylki, winogrona. Sto lat bez mała przeżyły w mojej rodzinie (po kądzieli), przetrwały dwie wojny światowe, zniosły i transport repatriacyjny, no, a teraz ktoś inny nimi oko cieszy. Cóż, trudno. Nie czas żałować róż, gdy trzeba własne dziecko wypchnąć na wakacje. A po babci jeszcze pozostał ostatni „pamiątek”,

drezeński talerz, inkrustowany prawdziwym złotem. Trzymam go w wacie, żeby mi się, broń Boże, nie potłukł, bo on jest na czarną godzinę. A ta właśnie się zbliża: albo sentyment rodzinny, albo niech syn ma wakacje. A on mi tu teraz, syn – nie talerz! – domaga się złym głosem podwyżki połączonej z rewaloryzacją, bo podobno ktoś płaci mi na niego, czyli na syna – „aż tyle”!

– *Nie próbuj kręcić. Nie uwierz. Bo tu jest napisane czarno na białym – i syn mi podsunął przed talerz ze stygnącą zalewajką mocno wymiętoszony Dziennik Łódzki. Przygotował się do tej rozmowy. Zaplanował ją z pełną premedytacją trzynastolatka.*

Czytam notatkę, podkreśloną przez syna wyzywająco czerwonym mazakiem. Czytam raz, czytam drugi, i trzeci. Tyle razy czytam nie dlatego, że jestem aż taka tępa i nie rozumiem treści głoszącej w języku polskim, że od pierwszego maja podnosi się samotnym matkom zasiłek na dziecko do kwoty sześciuset tysięcy złotych. Czytam, ponieważ muszę zyskać na czasie.

Bo naprawdę nie wiem, co powinnam odpowiedzieć synowi.

Jeszcze rok temu nie należał mi się żaden: ani dla niesamotnej, ani dla samotnej. Zawód wybrałam nie ten: tak zwany „wolny”. Wolność zawodu, określanego jako „pisarz”, skreślała świadczenia ZUS na rzecz mojej rodziny jednako: czy ta moja rodzina rozbita, czy pełna, czy mam jedenaścioro dzieci, czy tylko jeszcze jedno do wychowania. Nie skreślała natomiast nijak moich powinności składkowych wobec tegoż ZUS.

Ja płacić ZUS-owi, ZUS nie płacić. Jak się spóźnić z przymusowo-dobrowolnymi składkami, to ja płacić odsetki i odsetki od odsetek też. Bo ZUS być w prawie, a ja nie być. Gdy Kali ukrasć krowę, to dobrze. Gdy Kalemu ukrasć, to źle.

Lecz mój syn, który tak niedawno przerósł mnie o siedem centymetrów, a dawno już odrzucił lekturę typu „W pustyni i w puszczy” i Pana Samochodzika też, swoje zainteresowania przenosząc z tego wspaniałego świata nieprawdopodobnych przygód na świat, co to przygoda bynajmniej nie jest i całymi godzinami tkwi z nosem w książkach traktujących o historii drugiej wojny, lub przychodzi do mnie z zasadniczym pytaniem w kwestii Platona: czy był on prekursorem faszyzmu czy nie był? bo i Tatarakiewicz zaliczył, zaś aktualnie zajmuje się Stalinem w wydaniu Miłosa Mikelna – tej zasady moralno-prawnej o

Kalim nie pojmie. On kieruje się logiką. Dla niego, wciąż jeszcze dwa razy dwa powinno dać wynik cztery. To ta infantylna logika, która wyklucza wszelkie metody, w którym albo prawo, albo obywatel wobec prawa posługują się prawą ręką za lewe ucho.

To jak mu owe zawilości objaśnić? A te skomplikowały się bardziej, gdy zatrudniłam się na „etacie”. W poprzedniej instytucji, w której do niedawna pracowałam, przy pierwszej wypłacie pensji podpisywałam odbiór kwoty za „rodzinne”. Dlaczego „rodzinne”, skoro przedstawiłam dokumenty, że jestem rozwiedziona i występuję w dumnym charakterze jedynego żywiciela?

Na samotną mi się należy!, upomniałam się natychmiast u pani księgowej.

– *Ależ, Anno-Mario, jakby się pani należało, to by pani dostała!*, zdumiała się ona.

To ja się jeszcze bardziej zdumiałam, i pytam się, czy wobec prawa i przepisów to ja jestem ta samotna, wychowująca syna, czy może uprawiam poligamię, mam dwóch mężów i trzeciego konkubina?

To pani księgowa roześmiała się i mówi że w moje osobiste życie nie wnika, ale ZUS to wie najlepiej i jakby była dla ZUS-u samotna, to bym dostała na samotną.

To wróciłam do domu. Zrobiłam listę znajomych matek, które się rozwiódły z mężami albo z nimi się mężowie rozwiedli, co dla ZUS-u, niezależnie kto z kim się rozwiódł, powinno być wso ryba. No i dzwonię, kolejno, według listy. Nie, żadna z nich nie dostaje na samotną. Rodzinne, i owszem, ale nie więcej.

Aha, to znaczy, że się nie należy. Komu w takim razie się należy – ja nie wiem. ZUS pewno wie, ale nie powiedzieć. Tajemnica państwowa, ściśle tajna.

Więc gdy w maju przeczytałam tę notatkę, którą mnie obecnie uraczył syn, to włożyłam ją między bajki.

Syn jednak i z bajek wyrósł. I z tych o dobrych Mikołajach, i z tych o złych wilkach też.

Cokolwiek mu nie spóbuje wyjaśnić – nie uwierzy. O, Boże kochany, jaka to ze mnie wyrodna matka! Niech mu chociaż na razie, póki się uda, ten mały okrucich wiary w prostotę równania, że dwa razy dwa jest cztery, zostawie.

– *Dobra – mówię – będę bulić.*

Anna-Maria

Z tygodnia na tydzień (3)

Czuł się podle. Po ośmiu godzinach spędzonych za kółkami dokuczał krzyż, a lekki ból głowy, z jakim dziś rano przyszedł na swoją zmianę, stał się nie do zniesienia. Jakby pod czołem usadowił się tabun krasnoludków, zawzięcie piłujących skronie tępymi piłami. Aż młilo.

Pochylił się nad zlewem, chlusnął w twarz strumieniem zimnej wody raz i drugi. Wiedział, że ulga będzie tylko chwilowa. Taki długotrwały, silny ból głowy zdarzał mu się w tym miesiącu już po raz trzeci. Dwa pierwsze ataki przyjął bez skojarzeń, traktując je jako wynik chronicznego zmęczenia: przecież w zeszłym roku nie miał urlopu. Ten trzeci, dzisiejszy przepełnił go strachem, przypominał ojca. U ojca też początkowo takie bóle głowy, a później szpital, z którego wyszedł nogami do przodu. W trumnie.

Z pękniętego gwiazdźcisca, aż szarego od brudu lustra nad umywalką jego twarz też poszarzała, ziemista patrzyła oczami o zwięzłych od bólu źrenicach. Ojciec, gdy go wykończył rak, liczył dokładnie tyle samo lat, co on teraz. Pięćdziesiąt jeden.

– *Jestem zdrowy. To z przemęczenia. Tylko z przemęczenia – mruknął. Ponownie ochlapał czoło, skronie. Powtarzając w myślach, że jest zdrowy, wyszedł z kłba i wpakował się prosto na Kazika Kocińskiego ze Staskiem.*

– *Przylączysz się, no nie?* – zapytał Kazik, łapiąc za rękaw.

Udał, że nie rozumie, w co tu jest grane. Oczywiście, doskonale wiedział, w co. Ten wieczny rozrabiacz Kociński z tym przyszczać gnojkiem, który się jeszcze na dobre nie zdążył zdomować w ich zajezdni, tym całym Staskiem Jak-mu-tam, bo nawet jego nazwiska nie pamiętał, już od kilku dni podburzają ludzi. Żeby strajkować. Zaczęli, gdy prasa doniosła o strajku empekowiaków z Białogostku. Dołączyć, poprzez, solidaryzować się, bo wszędzie pracuje się za psi grosz, a teraz w czerwcu Balcerowicz dorżnie ludzi podwyżkami za gaz i elektryczność, i patrzeć, jak to cwanie przerobił naród z tymi dolarami, i już na straganach wszystko drożej, i tak dalej w tym stylu.

– *Heniek, masz u ludzi autorytet, pamiętają ci osiemdziesiąty pierwszy. Wystarczy, aby kilku takich jak ty i wybuchnie – kończył Kociński, szarpiąc jego rękę.*

– *Jak chcesz wybuchnąć, to sobie wybuchaj, ale na własny koszt – odparł ze złością. Krasnoludki nasiliły łomot w skroniach. Złodek skurczem podszedł do gardła – I zabierz łapsko.*

– *Heniek! W Białymstoku, choć ich, dranie jak za komuny, rozwiązali, ludzie się trzymają, okupują zajezdnie. Teraz dopiero co radio podało, że Warszawa sparaliżowana strajkami, ani tramwaje, ani rolejbusy, ani nie! A my na co czekamy? A my co robimy?*

– *Cieszcie się, że jeszcze w ogóle mamy co robić – wyszarpnął się spod ręki Kocińskiego, odepchnął Staska Jak-mu-tam, zaciśnął polę kurtyki i szybkim krokiem ruszył ku bramie.*

Gnojek! – myślał. Nie daj Boże, chociaż to wszystko, co ci narwałeś mówią, to prawda, ale nie daj Boże, żeby strajk. Teraz nikt by nie opierał się tak z nami, jak w osiemdziesiątym pierwszym. Teraz za bramę i won. Zostać bez pracy? A rodzina? Po prośbie? Jadźka wczoraj długo płakała w poduszce. Już wcześniej przywodził, że żonę musi coś fest trapić. Znal też swoją Jadźkę dobrze, wiedział, jaka skryta, gdy chodzi o ważne sprawy, nie wydusi słowa nim to w niej jak

wrżód nie wzbierze i nie pęknie. No i wczoraj dojrzała o drugiej w nocy, cholera jedna, a on przecież na raną zmianę. Mnie chyba zwolnią z pracy, Heniek! przywarła rozdygotany od płaczu ciałem, i co my wtedy zrobimy? Poglaskał ją po głowie, po plecach, powie-

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

dział, że skoro dotąd jakoś radzili, to teraz też poradzą, nie zamartwiaj się tak, Jadźka. Łatwo ci mówić, zaszłołaby gwałtowniej. Nie, wcale nie było mu łatwo, i jemu zacinęło się gardło. Co za drańskie czasy, a nie takie miały być, nie po takie czasy zapisywał się jako jeden z pierwszych do Solidarności. Dobra. Nie ma po co wałkować ani rozpamiętywać: było, minęło. A teraz jest, jak jest. Przeszani rzyceć, rozłożył się w końcu na żonę. Najwyżej wykombinujesz sobie jakieś chałupnictwo. Dziadki dostaną przecież zrewaloryzowaną rentę, a Joasce na studiach też będzie należało się stypendium. Socjalnie bez taski, a na naukowe zapracuje, bo zdolna. Wtedy żona nagle zacięła, odsunęła się na sam brzeg tapczanu, odwróciła plecami jak od trędowatego. Obraziała się za to chałupnictwo, czy jak? A może miała co innego na wątrobie, a to był tylko taki wstęp? Słusznie mówią, że przedziej beczkę soli zjesz, niż babę wyrozumiesz.

Gdyby tak u nas strajk, a Jadźka na zwolnienie, nie, lepiej nawet i nie myśleć o czymś takim! – skrzęcił z Kraszewskiego w Dąbrowskiego. Od czasu do czasu lubił wracać z zajezdni piechotą. Nogi też muszą trochę popracować, a płuca załapać świeżego powietrza. Bo to autobusowe, niech je cholera, ile się człowiek nalyka najrozmaitszych smrodów.

Coś błysnęło mu w szybie wystawowej jasnym refleksiem. Przystanął na moment, zdumiony: słońce? Słońce wyszło. A rano lało. Psia pogoda, że aż się żyć odechciewa. A teraz – słońce.

Uśmiechnął się, tak go to niespodziewane słońce rozczuliło. Nomen-omen: słońce! Ostatni raz było ciepło chyba aż na maturalną pismną Joasi. Zaraz, zaraz – czy się akurat na pismną Joasę właśnie ochłodziło?

I jak to człowiek żyje? W takim kieracie, że nawet nie zdoła zapamiętać pogody sprzed niecałych trzech tygodni? Dzień do dnia podobny, jednakowy, umyka jak zając jeden za drugim, tak samo, identycznie: Na nic czasu nie starcza. Nawet na rybach się jeszcze tego roku nie było.

Nagle pomyślał, że dlaczego by nie? Jutro ma przecież akurat wolne. I to słońce. Ociepla się wyraźnie.

Ale zaraz pomyślał, że ryby nie będą brały. Za długi okres zimna, zasnana wiosna, odczekać by trzeba na prawdziwe ciepło i dopiero.

Nim doszedł do Kilińskiego wiedział, że żadna siła nie zatrzyma go jutrzejszego dnia w domu. Musi na ryby.

Nawet głowa przestała boleć. Za to serce poczuł. Uderzało przyspieszonym rytmem. Przyjemnie waliło. Zapowiadało spełnienie czegoś, za czym tęsknił przez długie, zimowe miesiące.

Wchodząc w bramę swego domu, miał ułożony cały plan. Autobusem do Kozub tam i nazad nie zdąży

Wzruszył ramionami: dlaczego zaraz miałby jakiś rak? Zwykły ból głowy, nic więcej.

Z kuchni pachniało jakby majerankiem. Może grochówka dziś na obiad?, pomyślał. Bardzo lubił grochówkę. Ale najpierw trzeba załatwić malucha.

Zapukał do pokoju córki. Zięć siedział – jakże by inaczej: przed telewizorem, otoczony kłębami dymu. Buba spała w łóżeczku. Damian oglądał książeczkę. Powietrze było ciężkie, zatęchłe, odór nikotyny, pie-

luch. Marek często urządzał awantury Anicie, że chce go wietrzeniem celowo przeziębici.

– *Cześć dziadek – rzucił Damian.*

– *Cześć, smyku.* – Poszukał wzrokiem córki, ale jej w pokoju nie było.

– *Ojciec sobie żyje?*

Z przyjemnością by mu wygarnął, czego sobie życzy, ale chodziło o jutro. Uśmiechnął się: Potrzebuję twego malucha. Za to w niedzielę zajrzę mu pod maskę i wyreguluję silnik.

– *No cóż... skoro ojciec tak stawia sprawę – skrzywił się niechętnie Marek – Ewentualnie jutro mogę obcyć się bez wozu. Lecz koszt benzyny ojciec oczywiście pokryje.*

– *Oczywiście. Dziękuję – szybko zamknął drzwi. Żeby go cholera, tego skurdziela, pomyślał. Ale co tam, najważniejsze jest jutro. Niech mu będzie.*

Jadźka w milczeniu postawiła przed nim talerz z zupą. A jednak, proszę: grochówka! I to na wędzonych żeberkach.

– *Heniek. Ja już dłużej nie mogę.*

Dopiero teraz spostrzegł, że twarz Jadźki jest blada niczym opłatek.

Nie, nie! pomyślał w panice, że skurczem serca. nie dzisiaj! Dzisiaj nie. O niczym nie chce wiedzieć. Jutro, wieczorem, jak wróce. I żeby nie dopuścić żony do głosu, powiedział szybko:

– *Sluchaj, Jadźka, biorę od Marka malucha i jadę, rozumiesz, jadę jutro, z pierwszym świtem...*

Weszła mu w słowo. Głos miała matowy, bezbarwny: – *Heniek. Muszę ci powiedzieć, że...*

Już domyślał się, że stało się coś złego. Poznał to z głosu żony. Nie, nie! chciał się bronić – nie dzisiaj! Jutro, wszystko jutro; ale żona zacięła kurczowo dłoń na jego ramieniu i tym swoim matowym, bezbarwnym głosem dokończyła:

– *Muszę. Nasza córka, Joasia, jest w ciąży.*

Łyżka wypadła mu z ręki, płaśnięta głuchym dźwiękiem o stół. Wiedział: nie będzie jutro żadnej zielonej łaki, cichego plusku wody, na którą spada spławik. Nie będzie. Jego córka, Joasia, jest... jest... Boże kochany, jego córka! Joasia! jest... – nawet w myślach nie zdobył się powtórzyć za żoną tego słowa.

E.L. Skalik

Warszawskie wydawnictwo "Amber" wylansowało na polskim rynku wiele hitów czytelnictwa. Specjalizując się w literaturze popularnej w najlepszym znaczeniu tego słowa, sięga po autorów cieszących się dobrą sławą na Zachodzie. Starannie przełożone i wydane książki, weszły także do naszego kanonu ulubionych lektur.

Miło nam zapowiedzieć nawiązanie stałej współpracy z tym prężnym wydawcą. Dzięki uprzejmości kierownictwa "Amberu" czytelnicy "Odgłosów" będą mogli poznać najlepsze fragmenty światowych bestsellerów, jeszcze przed ich pojawieniem się w księgarniach. Każdy odcinek takiego przeboju poprzedzony zostanie informacją o autorze oraz lakonicznym streszczeniem, które pozwoli poznać całość akcji i stanie się zachętą do sięgnięcia po pełny tekst.

Brian Callison znany jest w Polsce przede wszystkim z powieści "Wojna Trappa" oraz "Obłąk na pokładzie". Akcja obu toczy się na morzu i nie dziwnego, gdyż autor spożytkował w nich własne doświadczenia życiowe - jako młody chłopiec zaangażował się do marynarki handlowej. Dopiero później przyszedł czas na studia w szkole artystycznej. Pracował także w firmie budowlanej i w branży rozrywkowej.

Od dwudziestu lat pięćdziesięciosiedmioletni dziś Brian Callison jest przede wszystkim pisarzem. Jego debiut powieściowy "Grupa okretów" zyskał wysoką ocenę Alistaira McLeana, uznał ją za najlepszą książkę przygodową, jaką kiedykolwiek czytał.

Także powieść "Włóczęga" może pretendować do miana bestsellera, będzie to jedna z najbardziej atrakcyjnych powieści sensacyjnych na polskim rynku czytelnictwa.

* * *

Michael Crofts ma już dość życia najemnika. Nie chce zabijać za pieniądze - nawet w słusznej sprawie. Ale zerwanie z dotychczasowym zajęciem nie jest takie proste. Musi bowiem najpierw pomóc w rozwiązaniu problemów dawnemu przyjacielowi, Ericowi Harleyowi, z którego żoną Laurą miał kiedyś romans.

Harleyowie mieszkają na fermie w Szkocji, gdzie pracuje po zwolnieniu z wojska sierżant Mearns, znany Croftsowi, człowiek niebezpieczny i bezwzględny. W pobliżu znajduje się poligon doświadczalny broni podwodnych marynarki brytyjskiej.

Crofts domyśla się, że jego przyjaciel Eric wplątał się w aferę, której celem jest kradzież broni nowego typu, a Mearns i jego ludzie stanowią część grupy uderzeniowej do zrealizowania tego zadania.

Gdy Crofts z Laurą udał się na opuszczone lotnisko w pobliżu farmy, zauważył uzbrojonych osobników przeprowadzających tam jakieś podejrzane ćwiczenia. Oboje bez trudu zauważają, że pomimo zamaskowania pasów startowych, lotnisko może przyjmować samoloty. W okolicach wieży kontrolnej znajdują tajemniczy cylinder. Mike Crofts natychmiast domyśla się jego przeznaczenia.

* * *

Rdzewiejący pług stał jak przedtem. Obok nadal leżały zwroty starego drutu, siadno... jedynym nowym elementem był kawałek rury kanalizacyjnej.

Crofts spojrzał na nią uważnie. Miała mniej więcej sześć stóp długości - był to wzrost dorosłego mężczyzny - lecz jej obwód był taki, że człowiek ukryty w jej wnętrzu byłby bardzo ściśnięty - i zapewne również bardzo martwy! A więc jakie mogła mieć zastosowanie? Do-

szedł do wniosku, że właśnie ta cylindryczna atrapa była przed godziną obiektem tak czulej troski najemników - świadczyły o tym połyskujące zadrapania pozostawione przez stalową linę mocującą.

Końce rury zostały zamknięte niezbyt starannie dopasowanymi drewnianymi kłębami. Z trudem uniósł jeden jej koniec i spróbował oszacować ciężar. Była ciężka, wystarczająco ciężka, aby do jej przeniesienia na niewielką odległość trzeba było przynajmniej czterech mężczyzn. Kiedy opuszczał ją z powrotem, zajął w szparę między żeliwnym korpusem rury a drewnianym czopem. Wyglądało na to, że rura została wypełniona zwykłą, całkowicie niewinną ziemią.

A więc było to tylko kolejne ćwiczenie. Wykonana naprędce atrapa zastępowała prawdziwy obiekt. Potem na jej miejscu znajdzie się na przykład zasobnik z jakąś nieznaną zawartością... może narkotyki? A jeżeli jego przypuszczenie jest słuszne, to dlaczego miałby przywozić je tu statkiem, żeby natychmiast wywieźć samolotem? Jeżeli tak właśnie wyglądał ich plan.

Potem połączył to znowu z bazą RN Ardaro, Simpsonem i pierwszym przypuszczeniem, które przyszło mu na myśl, gdy w szklach jego lornetki pojawił się ten wydłużony ładunek podciągany na dźwigu w Przystani Kamieniołomów. I nagle już wiedział, co miał zastępować ten zardzewiały kawał rury.

- Wiesz, Lauro, chyba się już domyśliłem, co to ma być.

Laury już jednak obok niego nie było. Najwyraźniej czuła się wciąż nieswojo w tej cuchnącej, mrocznej ruinie i wyszła na zewnątrz. Wyprostował się i otrząsał ręce z poczuciem, że nieco przybliżył się do prawdy.

- Mike! O Boże... MIKE!

W jej stłumionym krzyku brzmiała przerażenie. Obrócił się gwałtownie, czując jak serce podchodzi mu do gardła mdłym przeczuciem nieszcześć, podbiegł do drzwi i zamknął w bezruchu. Stał, wyraźnie widoczny na tle czarnego prostokąta stanowiącego doskonały cel oświetlony zachodzącym słońcem, bez cienia szansy na wykonanie następnego kroku. Jego trzydziści lat nauki sposobów przeżycia na rozmaitych polach bitewnych narzuciły mu jedyną możliwą reakcję... całkowity bezruch.

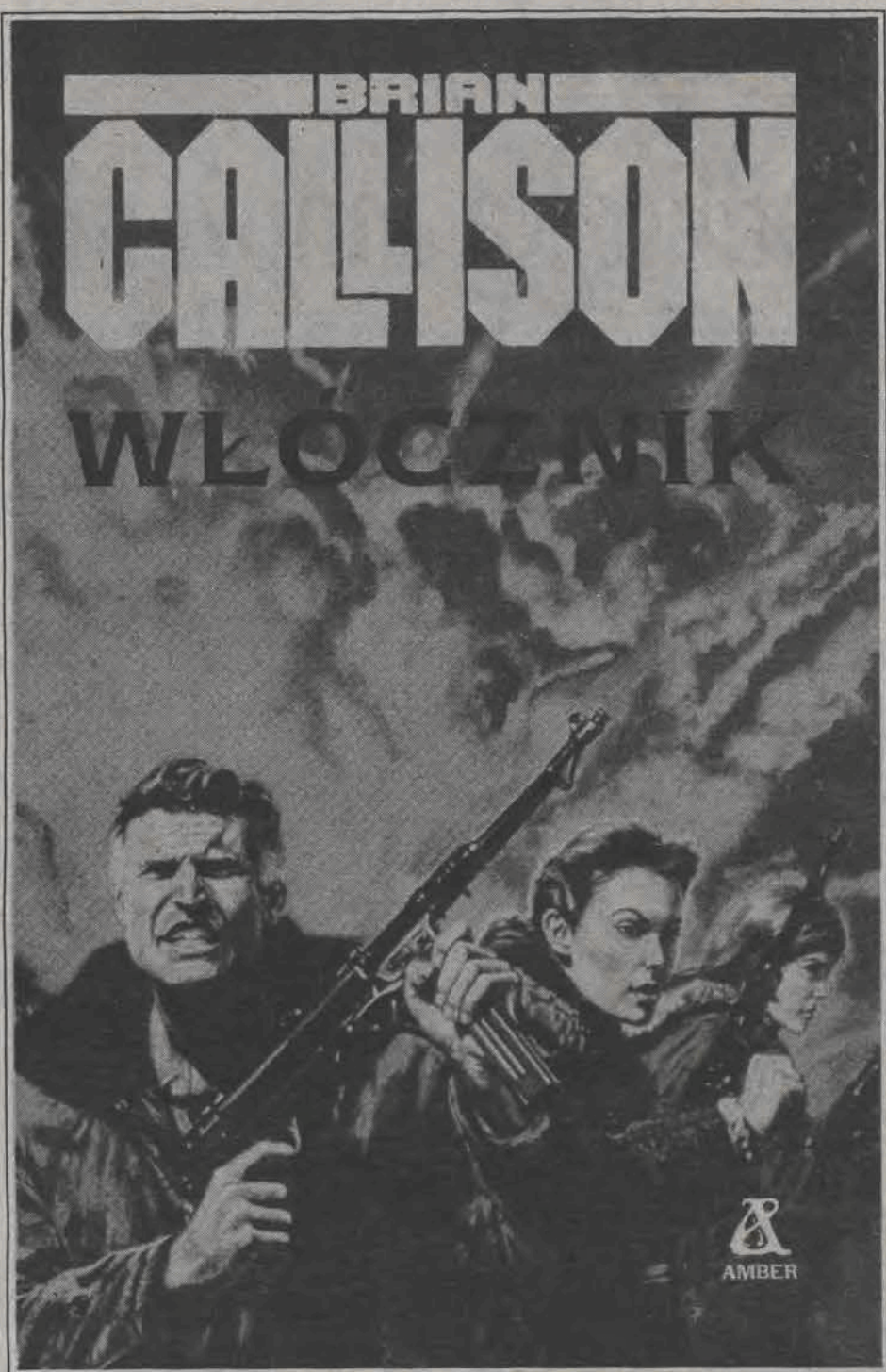
Tkwiał w miejscu jak sparaliżowany. Ale jednocześnie próbował ocenić możliwość wykonania jakiegokolwiek dalszego ruchu.

Przed nim znajdowało się sześciu ludzi. Wszyscy ubrani w bezosobowe mundury polowe koloru khaki, wszyscy zamaskowani, w ciemnych wełnianych kominarkach tak lubianych przez kochające anonimowość paramilitarne zwierzęta. Trzech kłębało z wycelowaną bronią - jeden z nich trzymał hiszpański pistolet maszynowy star Z-62 wymierzony między oczy Croftsa, drugi - pistolet maszynowy czeskiej, a może polskiej produkcji, skierowany w jego pierś, a ostatni - absolutnie niewyafinowaną dubeltówkę z obciętymi lufami, która mimo to stanowiła najbardziej mroczny krew w żyłach środka perswazji, zwrócony dość niedbale w stronę Michaela. Na dobrą sprawę ta broń wcale nie wymagała jakiegokolwiek celowania.

Dwaj następni mężczyźni przewrócili Laurę i teraz przyciskali jej rozkrzyżowane ramiona i nogi do betonu pasa startowego ze zdyscyplinowaną brutalnością, która przeraziła Croftsa bardziej niż jakieś niezgrabne próby gwałtu.

Szósty mężczyzna nawet nie spojrzał w jego stronę. Powoli, z rozmysłem, sięgnął do tyłu i wyciągnął z pochwy myśliwski nóż o ośmiocalowej kłindze. Ukląkł, rozsunął zamek błyskawiczny czystokrwistego błękitnego anoraka Laury Harley i wsunął ostrze pod obcisłą bluzkę, tuż pod łukiem wygiętej ku górze klatki piersiowej uwiecznionej kobiety.

Dopiero wtedy odwrócił głowę i popatrzył na Croftsa. Jego oczy w wycięciach kominarki



przypominały wąskie szpary, czarne kawałki lodu połyskujące szyderczą obietnicą. A gdy jego palce zacisnęły się mocniej na rękojeści noża, uśmiechnął się. Był to obramowany wełną złośliwy grymas, zapowiadający wszystko co najgorsze.

- Nie! - wykrztusił Crofts - Na litość boską, NIE!!!

Laury zaczęła pojeikiwać i widać było, szalenie próbując się uwolnić z obezwładniających ją rąk. Teraz wełniani Faceci uśmiechali się już wszyscy z oczekiwanym pełnym poządlności, a ich skierowana w stronę Croftsa broń kołysała się niemal niedostrzegalnie, jakby zapraszając, podczas gdy palce na spustach pokonywały pierwszy opór...

Crofts uznał, że nie pozostało mu nic innego, tylko umrzeć. Usłyszał swój pełen nienawisci ryk docierający do niego słabo, jakby przytłumiony przez pajęczynę koszmara:

- Wy SKURWYSYNYYYY!

Kiedy rzucił się do przodu, w przedostatnim momencie swego pełnego zapamiętania samobójczego gestu, nóż tamtego faceta błysnął, przesuwając się wzdłuż i do góry, rozcinając pasek, bluzkę i bieliznę. Laura wrzasnęła cofając się, gdy ostra jak skalpel klinga obnażyła jej wygięty ku górze mlecznobiały tors. Napastnik rozbierał Laurę nawet jej nie dotykając, plugawiając ją jednak samą bezgraniczną lubieżnością tego czynu.

Crofts zorientował się, że jest siedmiu zamaskowanych mężczyzn dopiero w chwili, gdy wymierzona z boku kolba karabinu trzymanego przez niewidocznego napastnika wyrzuciła go w pachwinę. Ciągłe było ogarnięty bojowym szaleństwem, wciąż zataczając się szedł na oślep, by przyjąć Laurę z pomocą, kiedy kolba trafiła go ponownie.

Cdn.

Skarby Pentagonu

W maju 1964 r. Johnsona przeniesiono do Waszyngtonu.

Pełnił teraz służbę w samym Pentagonie. Było mu to na rękę. Czuł, że na dalszą metę i tak byłby spalony. Żaden szpieg długo na powierzchni się nie utrzyma. A tak wycofa się i ślady pozostawi. Jeszcze i ten plus, że w Waszyngtonie mieścił się znany Walter Reed Hospital. Specje z tego szpitala na pewno zadba, żeby Hedy wreszcie postawić na nogi. Lepszego szpitala nie znajdzie się w całej Ameryce.

Po rozmowie z inspektorem Greenem dwaj agenci FBI udali się do tego właśnie szpitala. Wzieli na sypki młode pielęgniarki. Stamtąd udali się do domu Johnsona.

Hedy przyjął ich z jawną wrogością. Cóż to znów takiego. Czy nie ma prawa do spokoju. Nie życzy sobie, żeby ktoś ją nachodził i napałował.

- Pielęgniarki słyszały, jak wytykała pani mężowi, że jest szpiegiem i ruskim komendantem.

Osunęła się na fotelik, przyciskając dłonie do skroni. Usta jej drgały. Siedziała długo bez ruchu z nisko pochyloną głową. Twarz miała chudą i udreconą, oczy zapadnięte. Gdy się podniosła, jej oczy aż pociemniały z wściekłości.

- A czy nie był szpiegiem? - wybuchnęła - Był nim przez długie lata. Dał się zwabić pieniędzmi, żeby mieć na dziwki, karty i to swoje chłanie. I tak mu się upiekło. Już dawno powinien gnić w marmrze. A teraz jaki numer odstawiał? Wybrał z konta całą forszę, a mnie zostawił bez grosza przy duszy.

- Ma pani jakieś dowody?

- Jakbym nie miała, to bym nie mówiła.

Zalęła się łzami. Po czym pokłękła jakieś proszki, popiła wodą i już uspokojona, jęła snuć zawiłą opowieść o pożyciu z mężem. Mieszała daty i zdarzenia. W jej relacji aż się roilo od nieścisłości i przeinaczeń. Agenci wcale jednak nie przerywali. Niech się wygada, niech wypaple wszystko. A co do pomyłek, są nieuniknione. Jest psychicznie chora. Niektóre rzeczy trzymają się kupy. Brzmia wiarygodnie. Trzeba to zresztą posprawdzać. Zacząć by należało od Mintkenbougha. To jest ta rybka, którą się złowi najłatwiej.

Agenci nie zdążyli.

Mintkenbough wyczuł pismo nosem, gdyż Johnson do niego nie zadzwonił. To mu dało do myślenia i dał nogę w samą porę.

Inspektor Green zbytnio się tym nie przejął. - To punkt dla nas, chłopcy. Jeśli facet tak pospiesznie zwinął manatki, to znaczy, że podał się do winy. Wydebić mi go choćby spod ziemi.

Po kilkunastu dniach agenci nakryli Mintkenbougha w domu letniskowym w północnej Karolinie. Przysięgał, że jest niewinny. Ktoś go wrabia. Nigdzie nie uciekał, tylko przyje-

chał na wypoczynek, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Opowieści Hedy to bajdurzenia chorej umysłowo. Jak można brać poważnie osobę obłąkaną.

- Zamknij jadaczkę i nie próbuj robić z nas durniów - usłyszał nad uchem. Jazda z nami na przesłuchanie, ani się obejrzyj, a rura ci zmieni.

Po tygodniu bezpardonowych raczej nacisków Mintkenbough przytłbić opuścił. Błady, roztrzęsiony i wymierzony wyznał z kamieniem twarzą, że pracował dla Moskwy w pierwszym z Johnsonem, a potem na własny już rachunek. Obserwował między innymi ruchy wojsk amerykańskich w południowej Florydzie podczas kubańskiego kryzysu.

- Gdzie ukrywa się Johnson? - rzucił inspektor Green.

Mintkenbough rozłożył ręce.

- Pojęcia nie mam. Możliwe, że przysnął do Kanady.

Za Johnsonem rozesłano listy gończe. Jego tropem poszły całe falangi wytrawnych wśczieli z FBI. Do pogoni za dezertorem włączyła się żandarmeria i brygady tajnych agentów. Przeczyszywano dworce kolejowe, lotniska, brano pod lupę autostrady. W Central Intelli-

gence Agency uznano, że Johnson był jednym z najgroźniejszych szpiegów na usługach KGB. Nie szczędzono sił i środków, by zbiega co rychlej pochwycić.

I co? Nic, żadnego punktu zaczepienia. Johnson wyparował. Zapadł się pod ziemię. Człowiek nie powietrze, jakieś ślady zwykle pozostawia. A tu nic i nic. Masz tobie, Johnson najspokojniej w świecie grał sobie w Las Vegas w ruletę. Zdążył też obsaczyć bogatą kolekcję wódek i koniaków. Pod koniec listopada sięgnął do portfela i wysuptał drżącą ręką jedną monetę. Był to dime, srebrna dziesięciocentówka. Tak więc splukał się do ostatniego dolara.

Rankiem brudny i nie ogolony zgłosił się po nie przespanej nocy u szeryfa w Reno.

- Nazywam się Robert Lee Johnson - wybelkotał - Dezertuję, jeśli już o to chodzi.

Odstawiono go w kajdankach bez zwłoki do Waszyngtonu.

Johnson nie umyślał sobie z początku, że podejrzuje się go o szpiegostwo. Sądził, że odpowie wyłącznie za dezercję. A to była pestka. Przełknął ją, byle tylko zamknąć ten przekłety małżeński rozdział. Dopiero w Waszyngtonie opadły mu łuski z oczu. Ale się wkopał. Sam nałożył sobie pętlę na szyję. Wysondowano o nim już tyle, że wszelkie wykryty miały się z celem. Gdy śledczy napomknął, że kara śmierci nie jest wykluczona, stracił na moment oddech.

- Nie, tego mi nie zrobicie - usłyszał bicie własnego serca - Mogę się wam jeszcze przydać.

Cdn.